

ZBIORY OŚRODKA KARTA

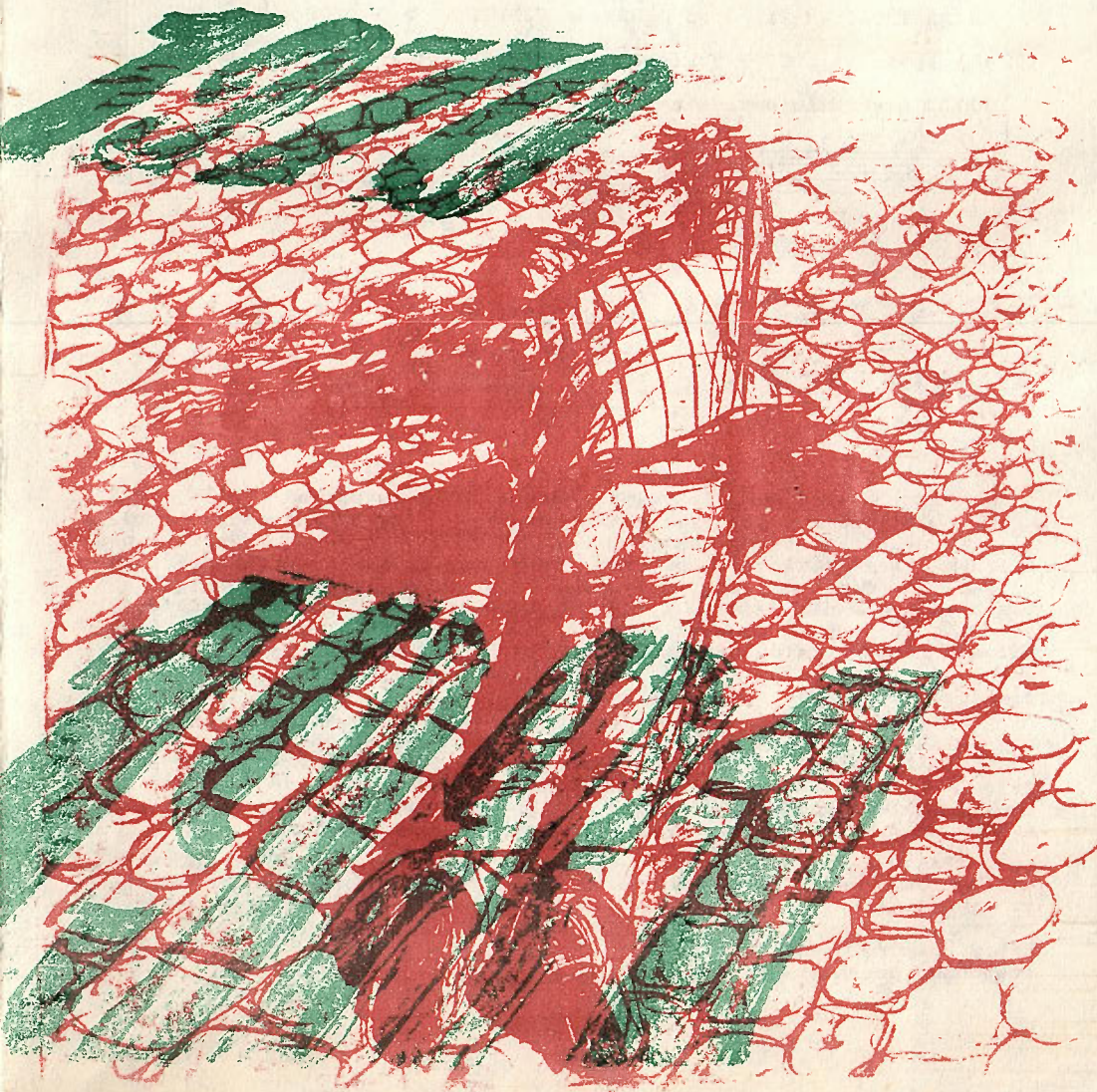
MYŚLI NIEINTERNOWANE

Nr 20

KRAKÓW

XI-XII. 1985r.

130 zł.



W NUMERZE

Druga część opracowania o AFGANISTANIE • I nagroda w dział-
le "Wspomnienie" z Konkursu "40 LAT PÓZNIEJ" autorstwa MARKA
MAYERA • a także:
kilka PROSTYCH PYTAŃ od JĘDRZEJA BORUZY, • CZOP tym razem
o gospodarce i CZOP jakiego nie znacie, autor poezji, •
KRYSZ o obrazie przedstawiciela władzy w filmie.

AFGANISTAN

RYŚ HISTORYCZNY

CZĘŚĆ 2

Przewrót komunistyczny /"Rewolucja Kwietniowa"/ 27.IV. 1978. rozegrał się według scenariusza analogicznego jak w r. 1973. Przygotowany został przez przywództwo połączonej partii pod kierownictwem ambasadora Puzanowa, akcją wojskową kierowali częściowo ci sami dowódcy, co 5 lat wcześniej. Przewrót przyspieszony został przez zamordowanie jednego z liderów Parczam, Chajbara i aresztowanie członków KC podczas demonstracji na jego pogrzebie. O zwycięstwie rewolucji zdecydowało lotnictwo i czołgi. Choć walki ograniczyły się do samego Kabulu, zginęło w nich do 8 tys. osób /według samego Tarakiego - tylko 73/. Zabity został prezydent Dawud i część jego rodziny. Władzę objęła Rada Rewolucyjna, na której czele stanął Nur Mohammad Taraki /I sekretarz LDPA/, z Babrakiem Karmalem jako zastępcą. Taraki został też prezydentem i premierem /tę ostatnią funkcję przejął potem Hafizollah Amin/. Nowi przywódcy odżegnywali się od związków z Moskwą, unikali hasła "k komunizm" i pokrewnych mu. Moskwa zdementowała swój udział w przewrocie, choć natychmiast uznała nowy reżim.

Plan reform w 13 punktach ogłoszony został w maju 1978. Zapowiadał on m.in. reformę rolną, uprzemysłowienie kraju, poszerzenie sektora społecznego w gospodarce, demokratyzację konstytucji, powszechne nauczanie, równouprawnienie kobiet, wzmocnienie armii. Oddzielne dekrety dotyczyły walki z lichwą, zniesienia tradycyjnych opłat za nareczoną, praw mniejszości narodowych.

Zaraz po zwycięstwie rewolucji zaczęły się czystki i aresztowania, prześladowania intelektualistów, kapitalistów, duchownych, osób podejrzanych o sympatie prozachodnie, urzędników dawnego reżimu. Urzędy obsadzano niekompetentnymi funkcjonariuszami partyjnymi. W lecie zaczęło się odsuwanie od władzy parczamowców. Przywódców /z Karmalem włącznie/ wysyłano na placówki dyplomatyczne; część uwięziono, niektórych stracono. W jesieni aresztowani zostali generałowie, którzy przeprowadzili przewrót.

Dla zachodniej opinii publicznej okupacja Afganistanu zaczęła się w grudniu 1979, dla jego obywateli - już w chwili zwycięstwa rewolucji. /Sama inwazja radziecka spowodowała różniocę ilościową raczej niż jakościową./ W nowym ustroju socjetyzacja objęła wszystkie dziedziny życia publicznego. Liczba doradców radzieckich /w dużej części wojskowych/ w momencie przewrotu w Afganistanie nie jest znana, oceniana była na kilka tysięcy. Od rewolucji zaczęli oni napływać lawinowo, znaleźli się we wszystkich instytucjach, dublując wszystkie urzędy państwowe. W armii dowództwo przejmują sowieccy oficerowie, w szkołach zaczynają uczyć Tadzycy z ZSRR /ich perszczyzna bliska jest mówionej w Afganistanie/. Natychmiast po rewolucji zmianie uległy programy szkolne, pojawiły się nowe podręczniki /drukowane w NRD/. Walka z analfabetyzmem okazała się indoktrynacją marksistowską i ateistyczną. Wbrew oficjalnym deklaracjom zaczęła się walka z Islamem, prześladowania wierzących i duchownych /częste przypadki bicia na śmierć lub topienia mułłów/. Realizacja reformy rolnej /z nadzieją oczekiwaną przez wielu rolników/ zaczęła się wiosną 79. Ale była ona przeprowadzana w sposób brutalny, uwieczający godności dawnych i nowych właścicieli ziemi, z zupełnym lekceważeniem miejscowych obyczajów i więzów społecznych. Dlatego pociągnęła za sobą bunt i represje.

Traktat o przyjaźni, współpracy i stosunkach dobrosąsiedzkich z ZSRK podpisany został w grudniu 1978, do końca roku 1979 podpisano ponad 50 szczegółowych umów o współpracy w różnych dziedzinach.

Zbrojny opór ludności zaczął się latem 78. Zapoczątkowały go mniejszości narodowe z północno-wschodniego i centralnego Afganistanu oraz rolnicza ludność pasztuńska w swych tradycyjnych siedzibach. Wbrew dotychczasowym przekonaniom, koczujące plemiona pasztuńskie nie są najaktywniejszym elementem ruchu oporu /początkowe represje najmniej je dotknęły, rząd komunistyczny - nadal głównie pasztuński - starał się je pozyskać dla rewolucji, a koczowników bardziej obchodził interes plemienny niż losy kraju/. Grupą etniczną najdłużej sprzyjającą rewolucji byli Baludźowie /Moskwa od dawna popierała ich dążenia separatystyczne/ - brak dokładniejszych informacji o ich nastawieniu obecnie.

Pierwszym gniazdem zorganizowanego zbrojnego oporu był trudnodostępny Nuristan /lipiec 1978/, który praktycznie wyzwolił się spod kontroli reżimu kabuskiego. Powstanie objęło też część sąsiedniej doliny Konaru. Do końca roku 1978 powstanie rozszerzyło się na: Dolinę Pandższiru, prowincję Baghlan, Badachschan, Tachar i część Hazaradżatu na północy i zachodzie, a także na Nangarhar, Paktię i Ghazni na południu. Już wtedy poważne były bombardowania zbuntowanych wsi, a ponieważ lotnicy afgańscy odmawiali wykonywania rozkazów, od końca r. 1978 naloty dokonują niemal wyłącznie Rosjanie. Wszystkimi akcjami armii afgańskiej już wtedy kierowali radzieccy doradcy.

Liczbę ofiar śmiertelnych w końcu roku 1978 oceniano w Afganistanie na ok. 100 tys., liczbę więźniów politycznych - na ok. 50 tys. /ponad 15 tys. w samym Kabulu/, na początku roku 1979 w Pakistanie zarejestrowano ponad 200 tys. uchodźców. Od zwycięstwa rewolucji w wię-

zieniach i pacyfikowanych wsiach mają miejsce zbiorowe egzekucje; masowe rozstrzelania, zakopywanie żywcem, topienie. W czasie przesłuchań powszechnie stosowane są tortury, nadzorowane przez ekspertów z KGB. Na terenach objętych powstaniem niszczone są z helikopterów zasiewy, wybijane bydło.

Wczesną wiosną 79 zaczyna się ofensywa wojsk rządowych w zrewolutowanych prowincjach /Nuristan, Pandższir, dolina Konaru, Hazaradżat/. 18.III.79 wybucha powstanie w Heracie. Zaczyna się rzezią doradców radzieckich i ich rodzin i trwa 3 dni. Ginie kilka tysięcy mieszkańców. Wiosną i latem bombardowane są miasta: Kandahar, Ghazni, Dżalalabad, Talekan, Kunduz, Fajzabad. W każdym z nich ginie kilka do kilkunastu tysięcy ludzi. Hazaradżat / w sercu Hindukuszu/ ogłasza się wolnym krajem, ale wojska rządowe blokują mu dopływ żywności, równocześnie trwają masowe prześladowania ludności hazarskiej w dużych miastach.

Od końca roku 78 zaczyna działać partyzantka miejska, mnożą się zamachy bombowe, sabotaże. Kierownictwo ruchu oporu przejmują stopniowo partie polityczne na emigracji - z siedzibami w Pakistanie /później też w Iranie/. Na emigracji kontynuują działalność wszystkie istniejące wcześniej ugrupowania polityczne, ale szczególnie wzrasta popularność i aktywność ruchów muzułmańskich /w lutym 79 ma miejsce rewolucja w Iranie/. Ponieważ nowy reżim okazał się wrogiem religii /a także całej tradycyjnej kultury utożsamianej z Islamem/, walka z nim jest w odczuciu muzułmanów afgańskich wojną świętą /dżahad/, a powstańcy uważają się za bojowników za wiarę /modzahed, l. mn. modzahedin/. Do głównych partii muzułmańskich należą: Hezb-e-Eslami Golboddina Bekmatjara /bezkompromisowy, fundamentalistyczny ruch rewolucyjny podobny do irańskiego - antyzachodni, antynacjonalistyczny, nietolerancyjny wobec innych ugrupowań muzułmańskich, o zapleczu społecznym zbliżonym do Chalk/, Dżamiat-e-Eslami /Społeczność Muzułmańska/ Rabbaniego - frakcja poprzednie pokrewna ideologicznie, lecz nieco bardziej kompromisowa, działająca głównie wśród ludności nie-pasztuńskiej na północnym wschodzie kraju, Harakat-e-Enkelab-e-Eslami /Ruch Rewolucji Islamskiej/ Mohammediego - ugrupowania kierowane przez duchownych, działające na emigracji już za czasów Dawuda, Mohaz-e-Melli-je-Eslami-je-Afghanestan /Narodowy Front Muzułmański/ Gajlaniego, ruch religijny, stosunkowo elitarny społecznie i stosunkowo prozachodni. Istnieją też różne ugrupowania szyickie popierane przez Iran, o których mało wiadomo. Niewiele też wiadomo o organizacji i strukturze ruchów mniejszościowych i prowincjonalnych w poszczególnych regionach kraju, nie wiadomo czy i w jakiej formie kontynuowany jest ruch Setam-e-Melli po śmierci swego założyciela /Badachszi zginął prawdopodobnie w więzieniu w r. 1979/. Wiadomo jedynie, że nie tylko wielkie bohaterstwo i solidarność, ale też nadzwyczajne zdolności organizacyjne w afgańskim ruchu oporu okazują Hazarowie. Wśród emigracyjnych działaczy opozycji są umiarkowani liberalowie i demokraci /postacie aktywne dawniej w życiu w życiu politycznym i kulturalnym kraju/ - przywódcy popularni wśród elity intelektualnej, lecz znacznie mniej wśród ludu, są nawet zwolennicy przywrócenia monarchii /obalony król, od dziesięciu lat na emigracji we Włoszech, liczy się z możliwością powrotu na tron/.

Niezadowolenie w armii afgańskiej przybiera wielkie rozmiary. W roku 1979 szerzą się buntury wojskowe /przejście załogi fortu Asmar w dolinie Konaru na stronę powstańców w marcu, zakończone masakrą bunt garnizonu Bala Hesar w Kabulu - w sierpniu/ oraz masowa dezercja. W chwili rewolucji armia afgańska liczyła 80 tys. żołnierzy, pod koniec roku 79 - ok. 30 tys. - mimo podjęcia takich środków jak znaczne podwyższenie żołdu, rozszerzenie wieku poborowego na 16-50 lat.

16. IX. 79 nastąpił zamach w obrębie ekipy rządzącej. Władzę objął dotychczasowy premier i zastępca I Sekretarza /w rzeczywistości od pewnego czasu szara eminencja/ - Hafizo-l-Lah Amin /frakcja Chalk/. Taraki zginął. Za rządów Amina terror jeszcze się nasilił, wzrosła liczba aresztowań i egzekucji. W obrębie Chalk powstał rozłam, reżim stracił poparcie zwolenników Tarakiego. W październiku i listopadzie 79 wielkie operacje wojskowe miały miejsce w Paktii, dolinie Konaru i Logaru. Chociaż prawdopodobnie ten przewrót nie był reżyserowany przez Moskwę, nasiliła się w tym okresie radziecka pomoc wojskowa. ZSRR skoncentrował wojska po swojej stronie Amu-darii.

W końcu roku 1979 liczba uchodźców według oficjalnych danych pakistańskich wynosiła ok. 400 tys. Według afgańskich źródeł opozycyjnych było ich ok. 600 tys. w Pakistanie i 100 tys. w Iranie. Liczbę ofiar śmiertelnych od początku rewolucji do końca 1979 te same źródła oceniają na 1,5 mln /siedemnaścimilionowego narodu/.

27. XII. 1979 wojska radzieckie w wielkiej liczbie przekroczyły granicę Afganistanu. Reżim Amina został szybko i sprawnie obalony, a sam Amin stracony. Rosjanie zastąpili go przywiezionym z Moskwy Babrakiem Karmalem, przywódcą Parczam. W Kabulu i niektórych innych miejscowościach garnizony armii afgańskiej próbowały stawiać opór Armii Czerwonej, dla ludności cywilnej inwazja była całkowitym zaskoczeniem. Według oficjalnych radzieckich i afgańskich oświadczeń, "pomoc" udzielona została Afganistanowi na usilne prośby jego Rady Rewolucyjnej /ani z komunikatów oficjalnych, ani tym bardziej z wywiadów Karmala nie wynika jasno - której/, w celu ukrócenia obcej interwencji w Afganistanie. Jako państwa ingerujące wymieniane były - USA, Chiny, Pakistan, czasem też - Iran, Egipt, Arabia Saudyjska. "Ograniczony kontyngent" wojsk radzieckich, który miał zostać wycofany z chwilą ustania rzekomej interwencji, w początku roku 1980 liczył ponad 80 tys. żołnierzy. Rząd Karmala od początku próbował sobie zdobyć jakieś poparcie społeczne. Amin został oficjalnie potępiony jako krwawy tyran, wróg rewolucji i agent CIA /przy okazji przypisano mu wszystkie zbrodnie Tarakiego/, obiecano naprawić jego wypaczenia. Na mocy amnestii w początku stycznia 1980 wyszła z więzień ok. 10 tys. więźniów politycznych /8 tys. w Kabulu/. Karmal usiłował pozyskać bezpartyjnych dla współpracy z rządem.

Równocześnie coraz nowe jednostki Armii Czerwonej napływały do Kabulu; niektóre od razu kierowano do objętych powstaniem prowincji /szczególnie północno-wschodnich - Tachar, Badachschan, Wachan/. W skład jednostek okupacyjnych wchodziło początkowo wielu żołnierzy z centralnoazjatyckich republik ZSRR, lecz kiedy okazało się, że sympatyzują z miejscową ludnością, zastąpiono ich w większości niemuzułmanami.

W dniach 21-22. II. 80 wielkie demonstracje ludności odbywały się w Kabulu i wszystkich innych większych miastach. Reakcją na to było ogłoszenie stanu wojennego i fala represji. Puste miejsca w więzieniach znowu się zapełniły. Ofensywa przeciwko powstańcom zaczęła się z końcem zimy. Na przełomie lutego i marca odbyła się straszliwa pacyfikacja doliny Konaru, praktycznie wolnej od chwili buntu fortu Asmar wiosną 79. Dolina, licząca stokilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, w ciągu kilku dni została całkowicie wyludniona. Operacje wojskowe wiosną 80 objęły Nuristan, doliny Pecz, Laghman, Nangarhar, Paktię - i wszędzie celem ich była całkowita eksterminacja regionów objętych powstaniem. W tych atakach, przeprowadzanych wyłącznie przez wojska radzieckie, bombardowaniom z powietrza towarzyszą z reguły ataki czołgowe. Od początku roku 1980 stosowane są przy tym powszechnie wszelkiego rodzaju gazy trujące, a także napalm.

Latem 1980 zaczyna się nowa czystka w partii - tym razem członkowie Chalk zastępowani są paroczamowcami, w związku z czym rośnie opozycja wewnątrzpartyjna.

Po inwazji radzieckiej emigracyjne ugrupowania polityczne stanęły wobec konieczności ściślejszej koordynacji swych działań. Od lata 1980 z Peszawaru napływają doniesienia o powstaniu wspólnego frontu pięciu czy sześciu partii politycznych. Nie wiadomo jednak jak naprawdę funkcjonuje ta koalicja, brak nawet rzetelnych informacji o jej składzie /być może jest on płynny/. Wiadomo, że dominują w niej organizacje muzułmańskie /w skład frontu wchodzi na pewno Dżamiat-e-Eslami, zaś Hezb-e-Eslami nie wchodzi/, ale są też podobno w jej składzie nacjonalisci pasztuńscy /Afghan Mellat/ i socjaldemokraci /Mosawat/.

Wolny świat zareagował na okupację Afganistanu stosunkowo dużym oburzeniem, niewiele jednak dla niego zdziałał. /Przed wkroczeniem wojsk radzieckich zbrodnie komunistów w Afganistanie uważano za sprawę wewnętrzną tego kraju./ Bezpośrednio po wkroczeniu Rosjan w odpowiedzi na apel Cartera 51 państw potępiło tę agresję, a Rada Bezpieczeństwa ONZ wezwała do wycofania obcych wojsk z Afganistanu. Reakcją USA na okupację Afganistanu było wstrzymanie podpisania układu rozbrojeniowego SALT II, polepszenie stosunków z Pakistanem /proponując intensywną pomoc wojskową/, zacieśnienie współpracy z Arabią Saudyjską i krajami naftowymi Zatoki Perskiej. Carter ogłosił embargo na eksport pszenicy i wysokiej technologii do ZSRR, ale jego ekcja nie została konsekwentnie poparta przez sojuszników zachodnioeuropejskich i Japonię, które nie chciały narażać swych interesów w handlu z Blokiem Wschodnim. /Łukę w dostawie pszenicy dla ZSRR wypełniła Argentyna/. Amerykański bojkot ZSRR zbiegł się z bojkotem Iranu, przetrzymującego amerykańskich zakładników. Tylko częściowo udany był też zamknięty przez USA bojkot olimpiady w Moskwie latem 1980. Uczestniwu w niej odmówiło 55 krajów, wzięło udział 69 - w tym kilka ważnych państw europejskich. Bezpośrednio przed olimpiadą Sowietci uporowali częściowo wycofanie swych wojsk z Afganistanu, pogłębiając tym rozłam i dezorientację w świecie zachodnim /wycofano jednostki nieprzydatne do walki z partyzantami, zastępując je odpowiedniejszymi/.

Inwazję ZSRR na Afganistan potępiły Chiny, początkowo też Indie, które potem zmieniły stanowisko. Z państw Bloku Wschodniego otwarcie wyraziła swój krytycyzm tylko Rumunia. Sprawa afgańska spowodowała rozłam w obrębie Eurokomunizmu: z dużych partii komunistycznych Zachodu hiszpańska i włoska potępiły agresję, francuska ją poparła.

Inwazję ZSRR na Afganistan potępiły kraje muzułmańskie /z wyjątkiem Syrii, Iraku, Jemenu Półd./ na konferencji w Islamabadzie wiosną 1980. Wielką pomoc humanitarną okazał narodowi afgańskiemu Pakistan, który, choć sam należy do najbardziej biednych krajów świata, przysłał kilka milionów uchodźców afgańskich. Pakistan boi się jednak udzielać powstańcom pomocy wojskowej i sam wzbrania się przed taką pomocą z Zachodu, żeby nie drażnić ZSRR. Toleruje jednak dyskretne przewożenie broni dla powstańców przez swoje terytorium, a także to, że partyzantka prowadzona jest z jego terenów i ma tu swoje bazy. Jeszcze bardziej dwuznacznie ustosunkował się do sprawy afgańskiej Iran. Pogardliwy stosunek do Afganów /ubozwyczych, bardziej zachowawczych, przy tym sunnitów/ jest w społeczeństwie irańskim - mimo wspólnoty języka perskiego, dużej części historii i kultury - głęboko zakorzeniony. W czasach cesarzkich zdarzały się zbiorowe wybuchy wrogości do sezonowych robotników afgańskich, kończące się ich deportacją do Afganistanu. Eksmisja ok. 100 tys. obywateli afgańskich z Iranu miała miejsce w czasie samej rewolucji /luty 1979/, mimo że w Afganistanie szalał terror komunistycz-

ny. Po zwycięstwie rewolucji islamskiej Iran, uważający się za jej światowego eksportera, zawsze w patetycznych deklaracjach popierał walkę powstańców afgańskich, w rzeczywistości jednak bardziej zainteresowany był zwalczaniem imperializmu amerykańskiego w Palestynie czy nawet Nikaragui, niż sowieckiego - za miedzą. Inwazja ZSRR na Afganistan zbiegła się /nieprzypadkowo zapewne/ z okupacją ambasady amerykańskiej w Teheranie i ostrym kryzysem w stosunkach irańsko-amerykańskich. Wiele wskazuje na to, że władze muzułmańskie w Iranie w tym okresie były silnie zinfiltrowane przez komunistów. Gdy dnia 1.I.1980 demonstranci afgańscy w Teheranie usiłowali zaatakować ambasadę radziecką na wzór amerykańskiej, siły porządkowe uniemożliwiły im to. Wielu muzułmanów afgańskich /szczególnie szyitów/ liczyło na Chomeiniego i rozczarowało się. Niemniej, afgańskie partie muzułmańskie mają swoje przedstawicielstwa w Iranie, z jego terenów prowadzone są działania partyzanckie w Afganistanie zachodnim. Nie wiadomo, czy Iran udziela powstańcom jakiejś pomocy militarnej /propaganda radziecka od czasu do czasu to sugeruje/, ani też - w jakich warunkach żyją w Iranie uchodźcy afgańscy: nie dociera tam ani zachodnia pomoc humanitarna, ani dziennikarze. Można mieć nadzieję, że obecnie /1983/ po rozprawie z własną komunistyczną partią Tudeh /której bojówki n.b. szkolone były przez Rosjan w Afganistanie/ i po pogorszeniu stosunków z ZSRR, Iraku bardziej zainteresuje się sprawą afgańską. Ani Iran, ani Pakistan nie uznają reżimu Karmala i w maju 1980 odrzuciły jego propozycje pokojowego "unormowania" kwestii afgańskiej przez rozmowy bilateralne.

Na podstawie wyrzykowych danych, jakie docierają do Polski, trudno odtworzyć rozwój wypadków w Afganistanie w ciągu ostatnich trzech lat /lato 80 - lato 83/. Stwierdzić można, że zmienił się geograficzny - niewątpliwie więc i etniczny - zasięg ruchu oporu. Wschodnie tereny przygraniczne, dawniej bardzo aktywne, po pacyfikacjach zamieniły się miejscami w bezludny, kilkudziesięciokilometrowy pas ziemi nieczyjej, przez który powstańcy przedostają się do kraju z Pakistanu. Nadal jest zamieszkała i broni się dolina Pandższiru. Latem 1983 tamtejszy przywódca powstańcy - bez pośrednictwa rządu Karmala - zawarł rozejm z Rosjanami na okres zimy, obecnie jednak Sowieci koncentrują wojska, przygotowując się do nowej /siódmej już ponoć - tekst pisany był na początku r. 84 - przyp. red./ ofensywy w tym rejonie. Nie wiadomo, co dzieje się w Hazaradżacie - z doniesień z roku 1981 wynikało, że nadal stawia opór. W dalszym ciągu żywymi centrami opozycji są duże miasta - Kabul, Ghazni, Kandahar, Herat. Kabul /a pewnie i inne miasta/ w dzień kontrolowany jest przez siły rządowe, w nocy - przez powstańców. Zamachy bombowe i akcje zbrojne są tu na porządku dziennym, wokół Kabulu stale toczą się walki. Kilkakrotnie bombardowany był Paganman - podkabulska miejscowość rekreacyjna, obecnie silny ośrodek partyzancki; latem 1982 miała miejsce masakra miejscowości Majdan na południe od Kabulu itp. Wielki, udany atak partyzantów na Kabul nastąpił nocą 13/14.VII.83, gdy równocześnie zaatakowane zostały - cytadela Bala Hesar, gmach RTV i rosyjska dzielnica mieszkalna - Mikrorajon, Wałki o Kandahar, jak można sądzić, podejmowane są ciągle od nowa i mają one bardzo zacięty charakter /m.in. wielkie bombardowania Kandaharu miały miejsce w początku roku 1981/. Oprócz tych tradycyjnych ognisk oporu pojawiły się nowe: od wiosny 1982 coraz częściej pojawiają się doniesienia o walkach w całym północnym Afganistanie wzdłuż granicy radzieckiej - od Farijabu po Badachschan /jest to obszar zamieszkały głównie przez Turkmenów, Uzbeków i Tadżyków/ oraz na południowym zachodzie w prowincjach Farah i Nimruz/, gdzie żyje zarówno ludność perskojęzyczna jak baludżyjska i pasztuńska.

Po inwazji radzieckiej na Afganistan wielkie rozmiary przybrał

problem uchodźców. Na początku roku 1983 uchodźców afgańskich w Pakistanie było ok. 3,5 mln /największa populacja uchodźcza w świecie/, w Iranie szacunkowo co najmniej 1,5 mln /oficjalne dane irańskie z połowy r. 1981 oceniały ich liczbę na ponad milion/. Dochodzą do tego skupiska emigracji afgańskiej w Indiach, krajach arabskich /Egipt, emiraty naftowe/, Turcji /znalazły tu schronienie niedobitki mniejszości kirgizkiej z Pasiru afgańskiego, która w niewyjaśnionych okolicznościach zbiegła do Pakistanu już latem 1978/, w Europie Zachodniej i USA. Najwięcej wiadomo o warunkach życia uchodźców w Pakistanie. Wielką dobrotę okazują zarówno władze pakistańskie jak i ludność prowincji przygranicznych /szczególnie w NWFP, na którą składają się pasztuńskie terytoria plemienne/, ale ubogi Pakistan nie jest w stanie wyżywić uchodźców, a pomoc zagraniczna nie wystarcza /łożą na nią w szczególności - kraje naftowe Zataki Perskiej, USA, kraje EWG, różne agendy ONZ, prywatne instytucje charytatywne/. Ogromną większość stałych mieszkańców obozów uchodźczych stanowią kobiety i dzieci. Mężczyźni - prócz starców i inwalidów - walczą w Afganistanie, lub wędrują w głąb Pakistanu w poszukiwaniu pracy. Niektóre obozy służą partyzantom jako bazy wypadowe. Nie wszyscy uchodźcy mieszczą się w obozach - część buduje sobie prowizoryczne schronienia poza ich obrębem lub mieszka katem u tubylców. Mieszkańcom obozów administracja ich stara się zapewnić minimum warunków bytowych /miejsce w namiocie, głodowe racje żywnościowe, okrycie w zimie/, rzadko opiekę lekarską i szkołę dla dzieci. Gdzieś niedługo podejmowane są próby tworzenia warsztatów rękoźmienniczych lub zatrudnienia uchodźców przy robotach publicznych. W obozach, na skutek złych warunków higienicznych szerzą się choroby, wysoka jest śmiertelność /szczególnie dzieci/. Wszyscy uchodźcy afgańscy czekają na powrót do kraju, swoją obecną sytuację traktując jako przejściową. Nie godzą się na stałe osiedlenie w Pakistanie, ani nawet na przeniesienie obozów dalej od granicy - co znacznie utrudnia władzom pakistańskim rozwiązywanie problemów organizacyjnych. W obecnej chwili, jak się wydaje, rząd pakistański skłonny byłby przyjąć jakieś kompromisowe rozwiązanie kwestii afgańskiej, które umożliwiłoby uchodźcom powrót do domu. Negocjacje na ten temat toczą się pod auspicjami ONZ w Genewie - na razie bez skutku. Zachodzi obawa, że przyjęcie przez Pakistan rozwiązania kompromisowego równałoby się sprzedaniu uchodźców komunistom. Obawy o przyszłość uchodźców /a i całego Afganistanu/ budzi też perspektywa ewentualnej rewolucji lewicowej w Pakistanie.

Obecna sytuacja w afgańskim ruchu oporu przez różne źródła zachodnie oceniana jest różnie, nie ulega jednak wątpliwości, że boryka się on z licznymi trudnościami natury tak wewnętrznej jak i zewnętrznej. Przede wszystkim ruch ten nie stanowi jedności - wspólny front nie funkcjonuje sprawnie, a według niektórych informacji praktycznie nie istnieje. W organizacjach powstańczych kontynuują się dawne spory etniczne, regionalne, religijne, ideologiczne, personalne, bardzo różne są ich wizje przyszłego wolnego Afganistanu. Organizacje rywalizują ze sobą o broń i pomoc zachodnią oraz o dominację w różnych regionach kraju, równocześnie dochodzi do antagonizmów między grupami działającymi z terenu Pakistanu a ludnością pozostałą na miejscu, organizującą swój opór często poza strukturami partii politycznych; istnieje przepaść między żołnierzami ruchu oporu - walczącymi w Afganistanie i narażającymi swe życie, a przywódcami ich organizacji, którzy żyją w Pakistanie i nie mają bezpośredniego kontaktu z rzeczywistością wojenną. Płagą ruchu oporu jest infiltracja przez komunistycznych agentów - powodująca powszechną podejrzliwość, utrudniająca współdziałanie. Z trudności zewnętrznych najdotkliwiej odczuwany jest brak broni. Partyzanci w większości używają radzieckiej broni zdobyczonej, wniszonej przez dezertorów lub sprzedanej przez żołnierzy radzieckich. Ale jest to tylko broń

lekka i w niedostatecznej ilości. Partyzanci nieustannie apelują do wolnego świata o przysyłanie im broni - szczególnie przeciwlotniczej i przeciwpancernej - i, jak się wydaje, obecnie dostają jej więcej /z doniesień agencyjnych wynika, że mają moździerze, pociski rakietowe itp./, ciągle jednak nie dość dla wszystkich potrzebujących. Ofiarodawcy niechętnie się ujawniają - wiadomo, że należą do nich USA, Egipt, Wielka Brytania - co stwarza bardzo szkodliwy efekt zmywu milczenia wokół wojny afgańskiej. W ciągu pięciu lat tej wojny powstańcy nabrali wielu nowych doświadczeń i wiele się nauczyli /sposobów walki z nowoczesnie wyposażoną armią, skutecznych metod konspiracji, oszczędzania ludności cywilnej w czasie swoich działań, przewyżęzania dawnych antagonizmów i uprzedzeń/ i na pewno jeszcze wiele się nauczą. Ale bez intensywnej pomocy z zewnątrz ich szanse są znikome. Tymczasem świat niestety woli nie pamiętać o tej wojnie, lub uspokaja swe sumienie optymistycznymi zdjęciami powstańców na zdobytych obozach.

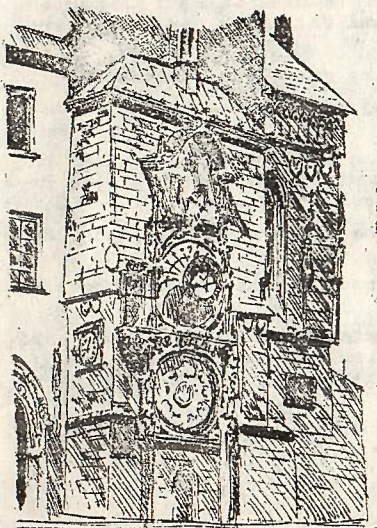
Liczba żołnierzy radzieckich w Afganistanie wynosi obecnie ok. 110 tys. /pisane w r. 84 - przyp. red./ Ich morale jest niskie. Idą oni na wojnę w przekonaniu, że będą zwalczać amerykańskich i chińskich imperialistów - sytuacja, którą tam zastają często jest dla nich szokiem. Ich demoralizacja sprzyja wysoki stopień zagrożenia /do tej pory zginęło w Afganistanie ok. 20 tys. - niektórzy mówią o 50 tys. - Rosjan; powstańcy przeważnie zabijają jeńców, niekiedy w sposób bardzo okrutny - w wyjątkowych tylko wypadkach trzymają ich w niewoli na wymiarę/, ciężkie warunki bytowe, złe wyżywienie, tyrania oficerów, nuda, izolacja, wrogość tubylców. Żołnierze radzieccy dopuszczają się zwykłych kradzieży i napaści rabunkowych, sprzedają broń i sprzęt wojskowy, z braku alkoholu popadają w narkomanię. Eksperci amerykańscy obliczają, że dla szybkiego podboju Afganistanu Rosjanie potrzebowaliby półmilionowej armii, zaś przy obecnym układzie sił wojna może się ciągnąć do końca wieku. Mimo licznych analogii, Afganistan nie stał się jeszcze sowieckim Wietnamem; znikomy procent społeczeństwa ZSRR zdaje sobie sprawę z rzeczywistego charakteru tej wojny, a do zupsniących wyjątków należą ci, którzy decydują się przeciwko niej protestować.

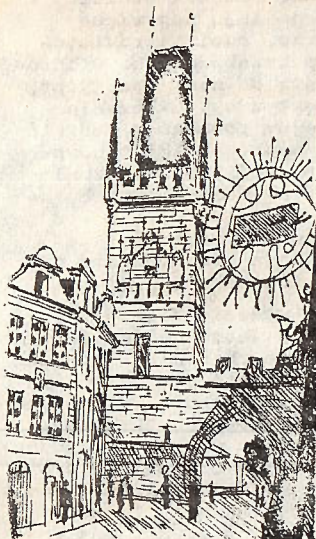
XXX

PRAGA. ZE WSPOMNIEN.

Karelvi Veverce, kucharzowi

panie Veverka pozdrawiam dziś pana mam nadzieję że ta sama beczka na przytanku w pobliżu Troi wciąż skrzy się dziesiątkami kufli ale pies już chyba inny tyle lat minęło wciąż czuję zapach papierosa sparta i pana wielki brzuch widzę bez wstrętu czas do pracy panie Veverka już zbliża się południe dość piwa to pan powiedział albo odczytaliśmy tę myśl w pianie cienkiej dziesiątki pogarda zabija jedynie wrażliwych i dlatego nie jest bronią masowego rażenia czy pamięta pan jeszcze sowieckiego oficera chłopca prawie który zastrzelił się





na Placu Wacława ponieważ
 chciał zagłuszyć kanonadę obelg tłumu
 pan do pracy my pójdziemy do parku imienia
 Fućka szczęśliwi którzy umarli nie zobaczywszy
 jak świat ich ideałów oddaje ducha rzezywistości
 zapisałem pana adres na pudełku z butami
 zaginęło głupio zdarza się moja wina
 panie Veverka pozdrawiam dziś pana
 właśnie dziś
 właśnie pana
 mędrca nad kuflem piwa
 praskiego kucharza

11/12 grudnia 1981 r.

K R Y S Z

Kącik samouka



Z okazji pewnej rocznicy, dość zresztą wątpliwej, przedstawiamy zagadkę literacką dla dociekliwych Czytelników.

Waszym zadaniem, Najmilsi, będzie: 1. podanie tytułu utworu, z którego zaczerpnięte zostały poniższe cytaty, oraz 2. wskazanie jego autora lub autorów.

"Emigracyjny 'rząd' w Londynie i jego delegatura w Kraju jest władzą samowładczą, władzą nielegalną. Opiera się na bezprawnej faszystowskiej konstytucji z kwietnia 1935 roku. 'Rząd' ten hamował walkę z okupantem hitlerowskim, swą awanturniczą polityką pchał Polskę ku nowej katastrofie. /.../

"Chwytajcie za broń! Bijcie Niemców wszędzie, gdzie ich napotkacie!"

"... uregulowanie granicy polsko-radzieckiej powinno nastąpić w drodze wzajemnego porozumienia..."

"Braterstwo broni uświęcone wspólnie przelaną krwią w walce z niemiecką agresją jeszcze bardziej pogłębi przyjaźń i utrwali sojusz z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej."

"Place robotnicze i pracownice /.../ zostaną ustawowo podniesione do norm, zapewniających minimum egzystencji."

"Instytucje ubezpieczeń społecznych oparte będą na zasadach demokratycznego samorządu."

"Zniesione zostaną /.../ zakazy krępujące działalność gospodarczą, obrót handlowy między wsią i miastem. Państwo popierać będzie szeroki rozwój spółdzielczości. Inicjatywa prywatna, wzmagająca tętno życia gospodarczego, również znajdzie poparcie państwa."

"Polska inteligencja /.../ a zwłaszcza ludzie nauki i sztuki zostaną otoczeni specjalną opieką."

"Niech żyje Polska wolna, silna, niepodległa, suwerenna i demokratyczna!"

ciąg dalszy na stronie 31

PROSTE PYTANIA

Pytani nawiązuje do "Prostych pytań" - telewizyjnej audycji towarzysza Władysława Loranca, ekspersza tv, aktualnie głównego ideologa pzpr. Rzecz będzie więc miała charakter, primo: pryncypialny, bo traktuje o ideologicznych zasadach partii, secundo: empiryczno-historyczny, ilustrujący jaką owe zasady znalazły konkretyzację i poniekąd, tertio, okolicznościowy, bowiem jesteśmy w okresie kolejnych obchodów "wielkiego października", organizowanych w listopadzie.

Na wstępie, dla stworzenia tła pod rozważania ogólne, parę odwołań do niedawnej przeszłości. Po posierpniowym upadku gierkowskiej ekipy, gdy "przywódca narodu" odchodził w atmosferze powszechnej pogardy, nienawiści i hańby, gdy ci, co niedawno piali na jego cześć dytaramby, teraz się odeń demonstacyjnie odwracali, w partię wstąpił - jak mówiono - "nowy duch". Drętwe zebrania, na których drzemano lub pochylano się nad krzyżówkami, zamieniły się w gorące dysputy i polemiki, choć słowo "polemika" nie jest specjalnie na miejscu, gdy wszyscy mówią to samo, równie odważnie i równie śmiało. Najodważniejsi byli oczywiście ci, co niedawno gorliwie oklaskiwali Grudnia czy Łukaszewicza.

Widowisko było raczej żalosne, miało również i swą smutną stronę, bo zakończyło się paru zawałami, nawet zgonami, by ograniczyć się tylko do wyżej wspomnianych, jak i depresją psychiczną innych, których musiano chronić przed agresją tłumu, który parę miesięcy wcześniej jak posłuszne stado baranów dreptał do urn, by wygłosować te 99,9%. Wydarzenie trudno też nazwać pouczającym, bo zaangażowani w nim - obojętnie z której strony - niczego się nie nauczyli. Ci, którzy w partii pozostali, wrócili do dawnej potulności, nowi zaś władzy nie postępują inaczej od poprzedników. Znormalizowały się zebrania, powróciły dawne obyczaje. W akompaniamencie wciąż - choć coraz ciszej - powtarzanych postulatów o "dalszym doskonaleniu" /"podnoszeniu na wyższy poziom"/ jakości partii coraz częstsze są administracyjne naciski na "poszerzanie szeregów" i statystyczne sukcesy w ilościowym wzroście członków. Te same, te samolubne metody, które jeszcze niedawno potępiała "Trybuna Ludu"!

Wątpliwe też, by Gierk i jego towarzysze byli w stanie zrozumieć cokolwiek z tego, co zaszło, a nadawane przez "Wolną Europę" relacje z przesłuchania komisji Grabskiego ukazują tragiczny poziom tych ludzi. Boże, cóż za bełkot, język jakby żywcem z relacji najgłupszych sprawozdawców sportowych, te ciągle slogany o "ślusznym proteście" klasy robotniczej, rozpaczliwa niezdolność pojmowania czegokolwiek z rzeczywistości, jeśli ogląda ją przez okulary partyjnych uchwał. Ciut tylko "niekonsekwentnie" wcisnanych w życie. Do Gierka nigdy nie miałem większej fobii, teraz mam tylko proste ludzkie współczucie. W końcu rządy jego były bardziej okresem gospodarczej beznadziei - normalnej dla tego ustroju - aniżeli opresji i terroru. Nie możemy też zapomnieć, iż jest to pierwszy przywódca PRL, który odszedł nie strzelając, czego nie powiemy ani o jego poprzednikach, ani następcy.

Oceniając z dystansu i na spokojnie miesiące zamętu /"anarchii"/ przeżywanego przez partię jeszcze bardziej upewnić się musimy w przekonaniu o jakości jego rozważania w planie personalistów. Rzecz przecież nie w głupocie Szydłaka, Jaroszewicza, niekompetencji Wrzaszczyka, wiliach Szczepańskiego, czy nawet największych machlojka wojewodów,

sekretarzy i ministrów, ale głupocie lub - jak kto woli - amoralności systemu. Doprawdy ręce opadają, gdy słyszy się powtarzane w narodzie opinie, iż zamiast głupich winni przyjść mądrzy, że pies pogrzebany w tym, że ONI nie dopuszczają, nie pozwalają itp. Wszystko byłoby fajnie, gdyby "konsekwentnie" realizowano ustawy, uchwały, a za jednego dyrektora, prezesa, sekretarza przyszedł inny. "Mądrzejszy"! W r a m a c h systemu, który jest. Pogląd, że to wszystko zavinili głupi jest przykładem rzadkiej głupoty, a wiara, że zły system da się naprawić dobrym wykonawstwem to głupota już całkiem nierreformowalna...

Ani jeden rząd na świecie nie posiada w swym składzie tylu profesorów, ile my mamy. Ktoś mi zaraz zareplikuje, że są wśród nich takie patentowane durnie, jak prof. Krasiński, ale - pytam - czy zmieniłoby to cokolwiek w cenach, gdyby jego miejsce zajął absolwent amerykańskich uczelni, prof. J. Pajestka, współtwórca naszych dawniejszych gospodarczych "oudów"? Wątpię też mocno, by poprawiły się nasze finanse, gdyby matola Nieckarza zamienił ktoś elokwentniejszy, z większą ogładą, mądrzejszym uśmiechem i większą ilością oleju w głowie. Na całym świecie nie znajdujemy człowieka o bardziej zniewalającym wdzięku, jak prof. Kubiak. I co? Czy partia przez to stała się trochę mniej chamska i brutalna? Nie zapominajmy też, że przez 20 lat mieliśmy najinteligentniejszego w Europie szefa rządu - J. Cyrankiewicza. I co?! Nic. Myślenie skutków i objawów z przyczynami jest tak powszechne, że tylko zakrzyknąć za Jaruzelskim: "Socjalizm tak, wypaczenia nie!" Jeżdżymy na tej samej karuzeli złudzeń i mitów. Dajemy sobie wmawiać, że jednak teoria jest dobra, szwankuje tylko wykonanie.

Wspominając posierpniowe parokszysmy przeżywane przez partię ciągle powracam do jednego z wystąpień Stefana Olszowskiego. Należał on do nielicznego grona działaczy usuniętych przez Gierka /Grabski, Szlachetnic, Barcikowski, Klasa/, którzy w nowej konfiguracji politycznej automatycznie zyskiwali kredyt zaufania. Kredyt oczywiście względny, przynajmniej w stosunku do tych, którzy nie mieli żadnego. Nikt nie wiedział, za co wylecieli, ale sądzono, że skoro wylecieli za sprawą człowieka realizującego niesłuszną politykę, to - logicznie - ich poglądy były słuszne. Olszowski powtarzał wtedy, iż dalekowzrocznie przewidywał klęskę Gierka, ostrzegał, za co też - biednego! - skazano go ana poniewierkę w służbie dyplomatycznej. Rodziło to oczywiście pytanie: czy tak było, bo przecież nikt nie słyszał przedtem o poglądach Olszowskiego głoszonych teraz? Zdawał sobie z tego sprawę i sam bohater, bo pewnego razu oświadczył: bardzo żałuję, że ze swymi poglądami nie podzieliłem się z klasą robotniczą i nie poszedłem wprost do zakładów pracy. To oświadczenie zdumiało mnie niepomniernie, gdyż Olszowski zawsze miał opinię intelektualisty i jest to - niezależnie co się o nim sądzi - człowiek wybitnie inteligentny. Taki mądry, a taki głupi! Wypowiadając się w ten sposób dowiódł, że: 1. albo jest bardzo głupi, 2. albo nie ma pojęcia o istocie partii i jej historii.

Ewentualność pierwszą odrzucam i przechodzę do drugiej. Olszowski najwidoczniej nie czytał pracy Lenina "Co robić?" /1902/ stanowiącej teoretyczny fundament partii komunistycznej i biblię jej członków. Warto więc przypomnieć elementarne prawdy Iljicza, który niestety bardziej jest przez kontynuatorów adorowany aniżeli studiowany. Pisząc o partii Lenin stwierdzał, po pierwsze, że "nie może być socjaldemokratycznej świadomości wśród robotników, może być ona wniesiona z zewnątrz. Historia wszystkich krajów dowodzi - zauważa autor - iż klasa robotnicza zdolna jest jedynie do świadomości trade-unijonistycznej". Po drugie - produkuje trade-unijonizm, lecz trade-unijonistyczna polityka klasy robotniczej jest - uwaga! - polityką szkodliwą". Z tego samego

źródła dowiadujemy się również, iż "teoria socjalistyczna wyrasta z filozofii, historii i teorii ekonomicznej wypracowanej przez wykształconych przedstawicieli klas posiadających, przez intelektualistów". Lenin w związku z tym przypomina, że przecież Marks czy - syn fabrykanta - Engels to nie robotnicy. A rosyjski szlachcic z sibińskiej gubernii Uljanow-Lenin?

W dalszych partiach leninowskiego dzieła czytelnik znajduje klarowny opis zarówno samej struktury partii, jak i jej funkcjonowania. Jest to więc organizacja zawodowych rewolucjonistów, działająca w duchu rygorystycznego centralizmu /"góra" wyjada dyspozycje "dołom", układ idealnie "pionowy" - nigdy "poziomy"/ zamknięta w sobie i utajniona w płaszczyźnie decyzyjnej. I jeszcze króciutki komentarz terminologiczny: mówiąc o świadomości "socjaldemokratycznej" autor "Co robić?" miał na myśli komunistyczną, bo dorewolucyjna nazwa jego partii brzmiała: Socjaldemokratyczna Partia Robotników Rosji. Trade-uniony to oczywiście - z angielska - związki zawodowe.

Centralistyczno-hierarchiczno-konspiracyjny styl pracy partii leninowskiej został wiernie później spłagiatowany przez włoski faszyzm, a później niemiecki nazizm. "Duce"-Mussolini przebywał równocześnie z Leninem w Zurychu, gdzie wódz bolszewików tworzył koncepcję partii "nowego typu", a odpowiednie teoretyczne uświadomienie przyszłego wodza faszyzmu i nauczyciela Hitlera dokonywało się za pośrednictwem jego rosyjskiej przyjaciółki - Angeliki Balabanow.

Marks twierdzi, że klasa robotnicza to pionier dziejowych przemian, grabarz kapitalizmu i budowniczy nowego ustroju, ale dopiero Lenin stworzył partię spełniającą egzekutywne funkcje wobec tej historycznej misji proletariatu. Paradoks polega jednak na tym, że partia ta nie jest tożsama z proletariatem, to tylko jego "awangarda". Co więcej, sami robotnicy nie decydują o realizacji swej misji, bowiem są - jak zauważył Lenin - zdolni jedynie do działań związkowych czyli rewindykacji ekonomicznych /płace, warunki pracy itp./, co jednak - według autora "Co robić?" - godne jest potępienia, jako "polityka burżuazyjna". O tym, co chcą, a raczej winni "obiektywnie" chcieć robotnicy, decydują z a n i c h, w i c h imieniu grupa wykształconych inteligentów. Marksowski-leninowski filozof w tym względzie pomysłowo doprecyzował węgierski filozof G. Lukacs wprowadzając przeciwstawienie "świadomości proletariackiej", oraz "świadomości proletariatu". Pierwsza to świadomość robotnicza zgodna z Prawidłowościami Historii, stan idealny, "obiektywny", opisany przez autora "Kapitału". Druga to realny stan świadomości konkretnego proletariatu, jego autentyczne myśli, aspiracje, dążenia i autowyobrażenia. Niestety, owa "subiektywna" rzeczywistość nie dorasta do dziejowych "obiektywnych" zadań klasy. Dochodzimy tu do styku teorii i jej realizacji, do stwierdzenia niewesołego faktu, że wprawdzie klasa robotnicza jest pionierem dziejowego postępu, ale o tym nie wie i - co gorsza - nigdy się nie dowia. Więc ktoś musi za nią to robić...

Historia ruchu komunistycznego to dzieło smutnego niezrozumienia przez robotnika jego powinności. Październik 1917 stanowią pierwszy akt dramatu, bo nie był to przecież "rewolucyjny zryw proletariatu", lecz operacja ozwała wojakowa, w której decydującą rolę odegrały oddziały anarchoizujących marynarzy. Nie robotnicy, nie chłopci, nie żołnierze nawet! Dalszy bieg wypadków dowiódł, że władza Lenina ani na moment nie stała się robotnicza, choć tak się sama - uwzględniając "obiektywne prawidłowości" - określała. Robotnik Moskwy, Piotrogradu, Charkowa nie rozumiał, że dla świetlanej przyszłości ma głodować, stać w kolejkach, gnieździć się w "komunalkach", a chłop oddawać za darmo

zboża. I pokornie słuchać "ludowej" władzy, która wiedzę o ludzie czerpała z uczonych rozpraw filozoficznych. Ciemny lud niczego nie czytał, stąd też jego ciemnota i brak szerszych horyzontów. Z drugiej strony zwolennicy świetlanej przyszłości nie cierpieli niedostatków będących udziałem prostych ludzi, dlatego z większym spokojem i "obiektywniej" spoglądać mogli w komunistyczną dal, reagując ze zrozumiałą irytacją na to, że nadbudowa tak ślamazarnie wlecze się za bazą. Nie rozumiejących dialektyki dziejów należało zmusić do posłuszeństwa wobec Historii, stąd taki rozrost organów bezpieczeństwa i form zorganizowanego państwowego przymusu.

Potężne antybolszewickie strajki robotnicze w lutym 1921 roku, zbrojne powstania zdesperowanych chłopów, wreszcie marcowy bunt czerwonych marynarzy Kronsztadu dowiodły, jak trudno przekonać lud, że to właśnie partia go "reprezentuje", "wyraża" i "ucieleśnia" jego ideały. Jeszcze raz potwierdziło to trafność leninowskiej teorii, według której nieświadomy robot nie może powoływać swej "reprezentacji" politycznej, wobec czego zmuszona jest ona do samorekrutacji. Stąd rodzi się - jakby to ujął prof. Kubiak - prymarny aksjomat: robotnik nie miał, nie ma i mieć nie może realnego wpływu na swą "awangardę" i jej poczynania. Co ciekawsze: "awangarda" jest tym swobodniejsza w swej działalności i silniejsza, im słabszy jest podstawowy człon "armii" - proletariat.

Obserwacja rzeczywistości przekonuje, iż przejęcie władzy przez komunistów dokonywało się zawsze w warunkach wojennego rozprzeżenia i chaosu /Rosja, Chiny, Wietnam/, przez partyzancką guerillę /Kuba/, przewrót wojskowych /Etiopia/ lub presję zbrojną z zewnątrz, popularnie określaną "bratnią pomocą" /KDL-y, Afganistan/, zawsze przy zerowym udziale proletariatu, który dopiero potem był informowany, że przejął władzę. Zachodzi tu też prawidłowość odwrotna: tam gdzie proletariat osiąga stopień wysokiego - liczbowego i ideowego - rozwoju, jego "awangarda" praktycznie zanika. Tak jest w USA, gdzie Komuniści dawniej byli znaczącą siłą, w Anglii, RFN, Danii, tak staje się we Francji, tak będzie nieuchronnie również we Włoszech.

Wróćmy do Olszowskiego. Z pewnością nie gadałby bzdur, gdyby znał teorię partii i jej historię. Wiedziałyby, po pierwsze, że z proletariatem nie należy gadać na tematy partyjne, bo on tego nie rozumie i rozumieć nie chce; po wtóre: wiedziałyby, że już ktoś przedtem podobne głupstwa popełniał. Lew Trocki, gdy został w 1928 roku usunięty przez Stalina z wszystkich stanowisk, podjął próbę porozmawiania z robotnikami, udając się w tym celu do moskiewskich fabryk. Nic to oczywiście nie dało, bo robotnicy nie mieli pojęcia, o co tu chodzi, a stalinowscy bojówkarze /"aktyw robotniczy"/ dokonali reszty. W tym momencie Trocki zapomniał, że będąc na szczytach władzy tak dobitnie akcentował prawo partii do przemawiania w imieniu robotników bez ich bezpośredniego udziału. W zmienionych warunkach podjął eksperyment niesłychanie naiwny i z góry skazany na niepowodzenie.

Partia leninowska od paru dziesiątków lat nie ulega zmianie. Oczywiście ta wymaga pewnych uzupełnień, bowiem w momencie swego powstania była ona partią nielegalną, działającą w warunkach carskiego politycznego despotyzmu. Po październiku 1917 sytuacja jej uległa zmianie o tyle, że stała się partią rządzącą i masową. Zmieniły się warunki i otocze działania, ale nie ona sama. W tym właśnie momencie powstały jakby dwie partie, dokładniej: partia w partii, leninowski trzon i członkowskie masy obodzące na zebraniach, opłacające składki, baza "spontanicznych" manifestacji, obchodów i podobnych imprez. Następca Lenina i jego wierny uczeń, Stalin, ujął to precyzyjnie mówiąc o "ofi-

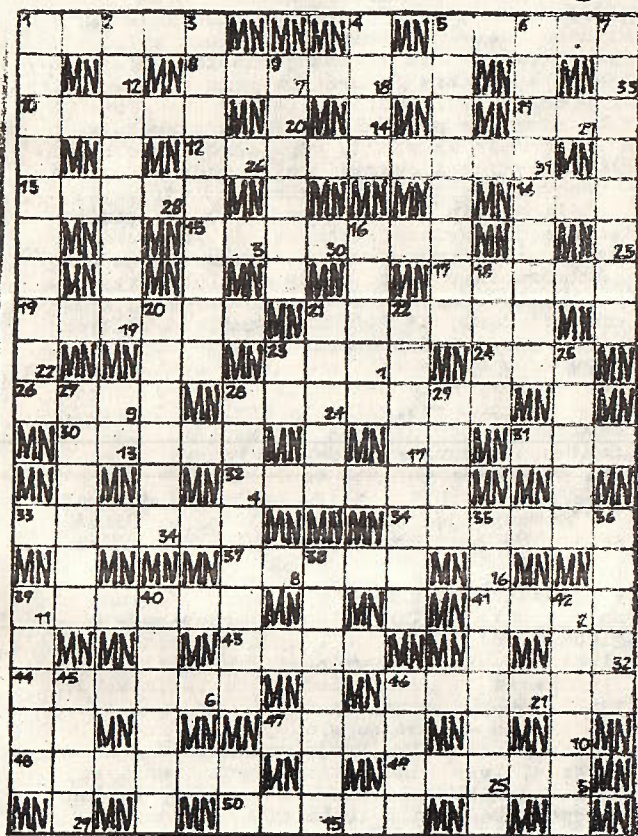
cerach" i "szeregowcach" w partii. Znamy to wszystko dobrze z naszej powojennej rzeczywistości: z jednej strony przywódcza elita zawodowych i dożywotnich rewolucjonistów, nomenklaturowy "aparatus" bądź "aktyw" / skupionych wokół przywódcy, z drugiej - szara ozłonkowska masa. Awangardą nie jest każdy posiadacz czerwonej książeczki, lecz tylko ten, kto ma władzę. W rzeczywistości jest to zawsze jednostka, Wielki Sternik kierujący całym ruchem, I sekretarz / sekretarz generalny / wolejący jeszcze raz - nigdy by sama nie posiadała, gdyby nie została jej ona wręczona "z zewnątrz". W czasie IX zjazdu ppzr serdecznie bawiliśmy się rozważaniami różnych krajowych i zagranicznych mądrali liczących skrupulatnie, ile to robotników, chłopów i młodych ludzi wybrano do nowego kc, z czego inteligentnie wnioskowano, jaki to będzie miało wpływ na podejmowane decyzje "najwyższej" władzy partii. Wciąż i niezmiennie ten sam błąd: traktowanie zewnętrznych rekwizytów za całość spektaklu w dodatku bez świadomości, że to tylko spektakl, rytualny obrządek. Po zjeździe z kc stopniowo wyeliminowano co bardziej pykających i na serio traktujących swój "mandat" / /, dokonano radykalnych zmian w terenie, szczególnie tam, gdzie "zbyt demokratycznie" wybierano instancje, a decydujący wpływ znów odzyskał I sekretarz oraz jego przybozna gwardia doradców-przyjaciół, było też coraz ciszej o reprezentancie "nurtu robotniczego" w politbiurze, Albinie Siwaku. Dobrze że się majster budowlany uspokoił, ale gdy jeszcze raz wsiądzie na swego konika, były herbowy ziemianin Jaruzelski, doktor Rakowski, major Górnicki czy prof. Porębski przypomną mu, kto reprezentuje robotników, Partia okrutnie nie lubi "pseudorobotniczej", lewicowej demagogii, która "pod piaszczykiem" / "podszyciwając się..." / chce ją wyręczyć w jej zadaniach. Woli już prawicę, bo jest otwartym wrogiem, pierwsza zaś - konkurentem.

Warto przypomnieć głośny precedens "struktur poziomych" /Toruń, Łódź/, gdy ozłonkowie ppzr "na poziomie" kilku zakładów pracy podejmowali uchwały i decyzje nie oglądając się na "pion". Była to straszna ideologiczna herezja i jej animatorzy słusznie wylecieli z partii. Doświadczenia "Solidarności" też warte są przemyślenia. Po leninowsku rzecz ujmując był to klasyczny trade-unionizm, spontaniczny ruch robotniczy, który wszakże w żaden sposób - mimo że w swej masie robotniczy - nie miał prawa reprezentować robotników. Rację mogła mieć i miała nie parotysięczna załoga zakładu, lecz kilku starszawych towarzyszy z komitetu zakładowego. Okropnie też niebezpieczny był ówczesny pogląd o niezależności związków zawodowych. Pachniało to bardzo nieładnie - anarchosyndykalizmem!

Najtrudniej do świadomości ogółu przebijają się truizmy. Jakby nie było już dostatecznej ilości dowodów na to, że komunistyczna partia to klika uzurpatorów przywłaszczających sobie władzę na mocy bzdurnych dogmatów i rzekomych "prawidłowości", nie znajdujących potwierdzenia w realnym przebiegu dziejów. Za te pretensje poprzednie pokolenia zapłaciły milionami trupów, my płacimy biedą i zniewoleniem. Ale nie musimy do tego dodawać jeszcze złudzeń. To najprostsza z wszystkich prostych prawd.

Jędrzej Boruta

KRZYŻÓWKA nr 5



PKO /nie najlepszy pomysł/ 46. spuścizna 47. Lpinińska 48. europejska stolica, gdzie nie u-
władzysz korków na ulicach i anten na dachach
49. symbol władzy faraona 50. autor "Revizora".

PIONOWO

1. równość społeczna 2. reżyser "Shoah" 3. nie-
rzeczywistość 4. wstrząs
psychiczny 5. ks. M.M. z "Tygodnika Powszechnego"
6. hinduska księga miłości 7. biała niewolnica
w haremie sultanskim 8. huragan 16. rodzaj pańszczyzny
15. skandynawska złotówka 20. niewolnica Leoncia
21. np. skrzypek 22. najalnymiejszy z Rycerzy
Okrągłego Stołu 25. miasto - nieżył 27. przesłania
więźniowi świat 28. klika 29. napis na Krzyżu
Chrystusa 35. autor "Etyki Solidarności" 39. kiedyś z
Grenhatą 38. Mojżesz otrzymał na Górze Synaj 39.
młodszy od dasy 40. mielizna Arki Noego 42.
Bernard - polski śpiewak 45. Mandelstam 46.
prorok Samuel namaścił go na króla.

U w a g a : cyfry w prawych dolnych rogach krat-
tek uszerogowane od 1 do 34 utworzą
hasło - dodatkowe rozwiązanie zada-
nia. Będzie to myśl Stefana Kisielewskiego.
Rozwiązania /osnaczone godłem/ prosimy przesyłać
przez kolporterów do dnia 1 lutego 1986 r., za-
łączając np. połowę widokówki /drugą połowę prosimy
zachować/.
Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe roz-
wiązania rozlosujemy książki.

POZIOMO

1. metropolia hinduska 5. antonin makre 8. gdy
"smutni" przeskakują mie-
szkanie 10. z Markiem Kotanińskim na osiele 11. Farrow
12. np. "Redemptor hominisa" Jana Pawła II 13. strój
ministra 14. narty 15. Król Itaki, ojciec Odyseusza
17. druga na płotku 19. bezczelność i lekceważenie
przyjętych norm 21. autor "Świętoszka" 23. tym
wykwintnym wozem odwożą na komisarjat 24. po
Bliźniętach 26. Chrystus o Ojcu 28. najalnymiejsze
"Na 66. rze" 30. pod jaworem miała randkę z
Filonem 31. Teatr ... Jasińskiego 32. pośrednik
gieldowy 33. metropolia turecka 34. A, B lub ...
prawa 37. zawody w ujeżdżaniu dzikich koni 39.
gdzie chodziło się za szkołą 41. przepływa przez
Żywiec 43. wyrwa, pustka 44. np. kapitału w



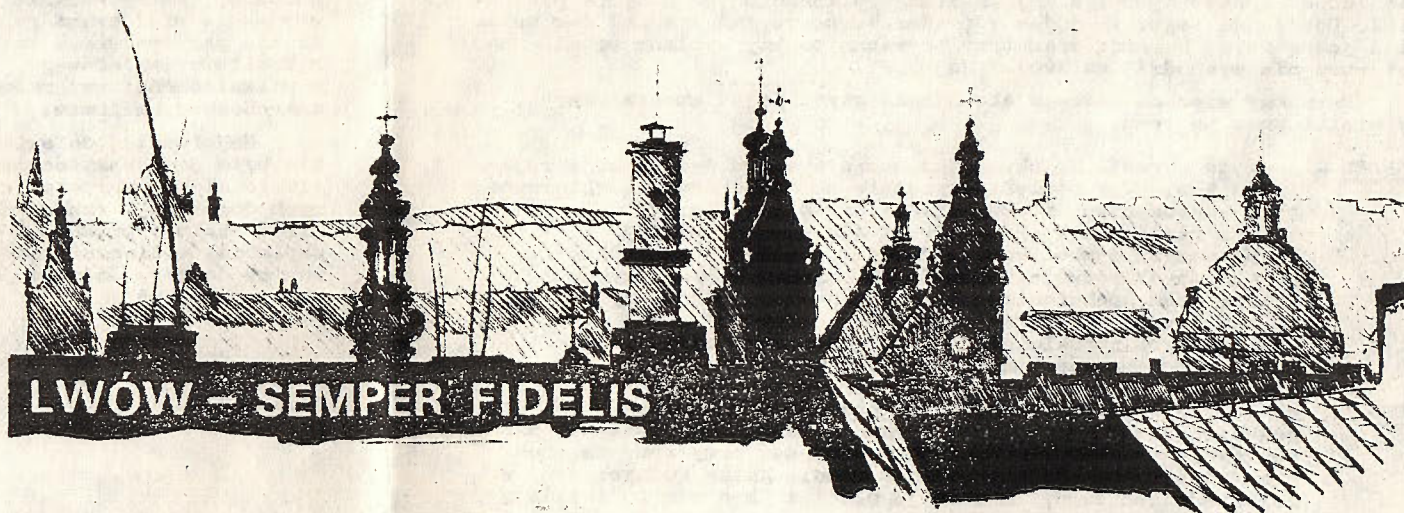
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 4

P o z i o m o : 1. Orwell 7. Seifert 10. apo-
kryf 1. Talion 12. Butyrki
14. Amado 16. taca 19. Sade
21. Rojek 22. Aida 23. Mann 24. Reduta 25.
agent 28. Foreman 32. sonet 35. Wałęsa 36.
punkt 37. dżdż 38. kliper 40. gaza 43. Sa-
ra 45. idiomat 47. infuza 48. reakcja 49.
mól 50. norka 51. knut.

P i o n o w o : 1. oktet 2. walec 3. landszaft
4. nomada 5. Arka 6. Afgan
7. sabotaż 8. interna 9. trikot
13. rejon 15. miarka 17. Aneks 18. alum 20.
Eile 26. Gułag 27. Assyż 29. Melka 30. nazi
31. gwardian 33. oddział 34. Edelman 36. pas-
tor 37. deizm 39. punca 41. Asuan 42. akant
44. rura 46. pat.

H a s ł o : "TYLKO MIERNOTA JEST ZAWSZE W DOBRYM
FORMIE"

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 4 nagrodę otrzy-
muje BRH+. Jest nią KALENDARZ WOLNEJ POLSKI na r. 1986.
Nagrodę doręczymy przez kolporterów, po przesłaniu
karty identyfikacyjnej przez nagrodzonego.



LWÓW - SEMPER FIDELIS

LEKSYKON wyświechtanych pojęć

Motto - Sergiusz Piotrowicz długo się jej przyglądał dobrotliwym wzrokiem.
"Ciotka, ciotka - myślał.
- Coś ty, bracie, za ciotka...
Zdechłśś jednak..."

/też Michał, ale Zoszczenko/

Wielkimi krokami zbliża się do nas Nowa Piatiletka, co oznacza że znowu - nie odzyskując równowagi - wraz wpadniemy w znany rytm, bo tak można lub trzeba. Koordynacja! Synchronizacja! Integracja! No, servus lody, jak mawiał mój przeddzień na widok komornika.

Piotruś Wierzbicki snuje w Tygodniku Powszechnym sny o potędze obszarniczo-kapitalistycznej tak śnieżnobiałe, że nawet Samopomoc Chłopska wygląda przy nich jak GULag. Pewien cichy współnik pewnej "firmy polonijnej" walczy na łamach partyjnej gazety o miłosierdzie dla nepmanów prl. Minister Nieckarz drukuje a drukuje - w kolejnej emisji banknotów o nominałach od 50,- do 5.000,- - należało jednak użyć cudzysłowów, mają bowiem co najwyżej wartość umowną. Trwają nadal ciche podwyżki, których nie ma z kim /ani po co/ konsultować - statystyczny Polak musi przecież wydać odziennnie szóstkę, żeby się upewnić że dtv będzie o zwykłej porze i sprawdzić, czy nie ma znajomej klepsydry. Klimat najwidoczniej się poprawił - może po jakże ciepłym przyjęciu Babraka - bo przydziały węgla dla indywidualnych odbiorców będą obcięte o jedną czwartą. Poroja łodów kosztuje dwadzieścia złotych. Bawełniane portki sześć do osmiu tysięcy. Nocleg w tzw. wsi wczasowej trzysta złotych. Krzywy Franek obniżył stawki za mokrą robotę - dla ludności dwie dychy, dla jednostek społeczno-żywych - dycha plus a-libi. Doszło do tego, że jeden z prokuratorów musiał zamknąć dwa butiki i jedną fermę baranią oraz trzy prywatne punkty wymiany walut, bo ani rusz nie wychodził na swoje. Jaja...

Dorzucmy więc do naszego słowniczka garść pojęć ekonomicznych, bo wielki czas po temu.

HANDEL - jest to określenie skomplikowanego systemu dystrybucji rozmaitych tzw. dóbr pomiędzy wyraźnie zhierarchizowaną zbiorowość tzw. konsumentów, którzy dzielą się m.in. na:

- a/ nie płaących w ogóle /"rząd się zawaze wyżywi"/,
- b/ płaących symbolicznie /"każdemu według jego zasług"/,
- c/ płaących podwójnie /marża dla krewnych, znajomych, szefów oraz spekulantów obliczana jest w różnorodny sposób, ale z niej żyją pracownicy tzw. handlu/,
- d/ płaących normalnie /?/ jeśli coś zostało, rzecz jasna - po znikczającym odstaniu w kolejce części życia.

CENA - co to jest, tego nie wie nikt, poza mistrzem Krasinśkim. Ot, pewna wielkość wyrażona w umownej walucie, najzupełniej nie powiązana z wartością. Interesujące jdst przy tym, że obok przedmiotów posiadających jednocześnie kilka różnych cen, w zależności od tego, k t o je płaci i k o m u, istnieją

również same ceny /odnośnych artykułów natomiast nie było, nie ma i nie będzie/. Jest to zapewne rezultat kreciej roboty fideistów, pragnących podważyć naukowy światopogląd polskiego społeczeństwa.

RYNEK - teren walki, nie wiadomo dokładnie kogo przeciw komu, choć świetnie wiadomo, że to Ty, rybakko, dostaniesz zawsze na samym końcu w dupę!

USŁUGI - he, he, he ...

/Nie wykręcam się - kiedyś jeszcze będzie o usługach, ale to, panie święty, temat jak rzeka - np. rzeka mleka, lub Wołga.../

GOSPODARKA USPOŁECZNIONA - jest to zupełnie nowy, rewolucyjny i przodujący typ koncernu, którego właściciele /występujący dla niepoznaki pod firmą Biura Politycznego/ posiadają - przy najmniej do pewnego stopnia - nie tylko środki produkcji i siłę roboczą, ale także pełnię władzy i na dodatek charyzmat absolutnej nieomyślności w każdej sprawie, o której zechcą się wypowiedzieć, jak również przywilej absolutnej bezkarności. Cechą charakterystyczną G.U. jest - po pierwsze - to, że poszczególne jej składniki są w praktyce n i c z y j e, ponieważ należą do w s z y s t k i c h /w teorii/, zaś Biuro Polityczne interesują tylko dochody z firmy; po drugie - to, że na żadnym szczeblu zarządzania zakresy decyzji i odpowiedzialności nie pokrywają się wzajemnie /najważniejsze decyzje podejmują ludzie zupełnie nieodpowiedzialni, skutki ponoszą zaś wszyscy, w rozmiarach odwrotnie proporcjonalnych do swego wpływu na w/w decyzje/, wreszcie - po trzecie - to, że wszystkie istotne parametry, stosowane dla projektowania i bilansowania działalności koncernu są całkowicie fikcyjne /w istocie rzeczy liczą się tylko dwa - s i ł a o b r o n n a i i d e o l o g i c z n a p r y n c y p i a l n o ś ć, ale i te są fikcją, ponieważ koncern w ogóle nie ma żadnej siły obronnej w stosunku do wrógów zewnętrznych, zaś w zmieniane cyklicznie pryncypia ideologiczne nikt od dawna nie wierzy/. Najdziwniejsze jest to, że G.U. wciąż jeszcze istnieje i funkcjonuje - tak, jak funkcjonuje. Zapewne jest to właśnie polski Wirtschaftswunder. Cud...

DOCHÓD NARODOWY - pojęcie raczej humorystyczne w kraju, skazanym na upadłość już tylko w rezultacie wzrostu niespłaconych odsetek od długów zagranicznych, nawet gdyby nie działały dodatkowe czynniki /a działają, i to jak!/. Teoretycznie jest to różnica między wartością wszystkiego, co udało się wytworzyć i sprzedać, a poniesionymi kosztami. Dzięki systematycznemu wzrostowi liczby nałogowych alkoholików oraz w związku z tym - obrotów spirytualiami, państwo uzyskuje istotnie pewne sumy zysków, niestety - w walucie, za którą niczego nie można kupić, poza usługami owych alkoholików i pewnej liczby mało wymagających kanali. W handlu międzynarodowym podobne rezultaty przynosi sprzedaż broni i handel tywym towarem, niekiedy nazywany "eksportem polskiej myśli technicznej" - wpływy są jednak zbyt niskie, a zmniejsza je dodatkowo notoryczne złodziejstwo pośredników na wszystkich szczeblach, łącznie z Wielkim Koordynatorem.

To zaczyna być nudne, więc przerywam. Jeśli nie udało mi się dostatecznie ubarwić Czytelnika, niech zada On sobie trud sięgnięcia po jakiś słownik, encyklopedię lub podręcznik i przeczyta samodzielnie definicje takich pojęć, jak PIENIĄDZ, PRACA, TOWAR lub jakichkolwiek innych. Sądzę, że skutek będzie natychmiastowy. Miłej zabawy!

©ZOP

GODŁO „111” - I nagroda w dziale „Wspomnienie” z Konkursu: „40 LAT PÓZNIEJ”

TWARZE

Poprzedniego dnia gdzieś byliśmy. U kogoś, czy może w kinie? Nie pamiętam, jak gdyby ta noc trwała długie, niewiarygodnie powolne miesiące. A potem, z rana, czas popędził jak oszalały.

Obudziła nas Teresa.

- Chodźcie szybko - wołała zza drzwi - przyjdźcie do nas, Jaruzelski zrobił stan wyjątkowy!

Zawołałem coś z materaca, na którym spaliszmy wraz z E. w pokoju dwa na trzy metry, wynajmowanym dopiero od miesiąca. Żeby nam Teresa dała spokój, że chcemy się wyspać, że to głupi dowcip i niech się odcepi.

W końcu wstaliśmy jednak. Jeszcze nie do końca rozumiejąc co się dzieje i niezbyt wierząc w to, co mówiła Teresa. Jeszcze w dobrym humorze, który, tak jak perfumy E., nie zdążył się ulotnić od poprzedniego wieczoru.

Nie myjąc się pobiegliśmy zimną klatką schodową, a potem przez białe, osypane śniegiem podwórze do Teresy i Ojka.

I znów nie pamiętam - radio, czy telewizor? Ale chyba telewizor, muzyka Chopina i orzeł na tarozcy. A potem na tle takiego samego orza, w jakimś anonimowym pomieszczeniu /znajomi z telewizji opowiadali później, że w pierwszych dniach wszystko szło ze studia w bunkrze na okęciu/ ta twarz, przedtem prawie niezauważana, dopiero od tej pory tak wbita w pamięć - wąskie zaciśnięte usteczka i czarne, kryjące pustkę okulary.

Wyszliśmy we czwórkę na Uniwersytecką, potem Mianowskiego do Filatrowej. Śnieg wesoło skrzypliał pod butami, było bardzo cicho, jak gdyby całe miasto zamarło w oczekiwaniu. Ale te po prostu samochody nie jeździły, już wiedzieliśmy z telewizji, że mogą jeździć tylko za specjalnymi przepustkami. Tramwaje i autobusy też jakby rzadsze niż zwykle. Nawet jak na niedzielę było ich mało. Może część kierowców i motorniczych, tych spoza Warszawy, nie mogła dotrzeć do pracy...

Nie wiedziałem, jaką wybrać twarz. Czy raczej - jaką mieć twarz. Bo przecież twarz nie wybiera się, nie dobiera jak krawatu do koszuli, ale jakąś twarz trzeba mieć. Ta wczorajsza, czułem to, nie pasowała do nowej rzeczywistości. I może dlatego choć w i e d z i a ł e m, to wciąż nie potrafiłem o d c z u ć tego co wiem. Nie wiedziałem jak odczuć, jaką twarzą, jakim uśmiechem, czy brakiem uśmiechu, jakim spojrzeniem, czy raczej opuszczeniem wzroku reagować na to co się dzieje. Moja twarz była miętka i podatna - zbyt łatwa, otwarta, nieza-

bezpieczona, nieosłonięta. Kompromitująca - zdradzała przybywsza "stamtąd", z rzeczywistości odległej zaledwie o kilkanaście godzin wstecz.

Chyba nie tylko ja tak to czułem. Dowcipkowałem, że "teraz wreszcie z nimi skończymy", śmieliśmy się głośno... Ale chyba zbyt głośno, zbyt wobodnie, by mogło to oznaczać coś więcej niż niepewność. Teresa próbowała mnie ostudzić - "nie bądź taki pewien, oni wcale nie są durnie". Droga była dość długa, musieliśmy o czymś rozmawiać. A przecież nie mieliśmy nic do powiedzenia, byliśmy tu cudzoziemcami i nie zdążyliśmy jeszcze wyrobić sobie jasnego sądu o rzeczywistości, w której zostaliśmy zanurzeni. Byliśmy cudzoziemcami, choć śnieg był czysty, biały, słońce pięknie świeciło, a domy do złudzenia imitowały tamte domy, które stały w tym samym miejscu poprzedniego dnia.

Przy placu Narutowicza stało blaszane pudło, drażniące swą kanciastą obcością. Koło SKOT-a /to ja powiedziałem pozostałym nazwę transportera, którą pamiętałem jeszcze z wojska, ale w dwa tygodnie później każda emerytka odróżniała SKOT-a do BWP-a/ stało kilku żołnierzy w grubyh kurtkach i czapkach z opuszczonymi nausznikami. Karabiny mieli przewieszane przez plecy, dla rozgrzewki przestępowali z nogi na nogę.

Na rogu Filtrowej i Raszynskiej, na murze koło sklepiku "Ruchu" zobaczyliśmy pierwszy plakat. To było to samo, co słyszeliśmy już z telewizji. Litery były dziwne, trochę starościeckiego kroju. Twierdzono potem, że plakaty z tekstem dekretu, rzecz charakterystyczna - bez daty, więc z pewnością przygotowane jakiś czas przed 13 grudnia/ drukowane były w Rosji, na maszynach wywiezionych przez Rosjan z zajętych 17 grudnia 1939 wschodnich terenów Polski. Możliwe, że gazety drukowane przez polowe drukarnie wojskowe podczas "Solidarnościowego 'dnia bez prasy'" miały, o ile pamiętam, zwykłą czołonkę.

W każdym razie na plakatach wszystkie "ó", "ź" i tym podobne polskie specjalności były.

D. z Teresą ruszyły Filtrową w stronę Alei Niepodległości, za nimi Olek. Ja jeszcze przepisywałem do notesu fragmenty obwieszczenia. Schowałem notes i wyciągnąłem rękę, by zerwać plakat.

- Nie rób tego! - zawołał w moją stronę Olek. - To, że oni zrywają nasze plakaty... Rozumiesz, nie powinniśmy ich naśladować!

Jaki naiwny był Olek! Nasze plakaty! O tej porze pewnie w całym mieście, w całej Polsce nie było już ani jednego "naszego plakatu". Były tylko podarte skrawki papieru z zachowanym jednym słowem, czy fragmentem słowa, które pozwalało odtworzyć slogany oraz rzadziej używane - Samorządna Rzeczypospolita, kontrola poczynań rządu... Skrawki papieru na murach, na szybach przystanków, na płotach... Skrawki w ciągu następných dni pracowicie zdrapywane, zrywane, spiukiwane przez deszcz i śnieg, aż zostały tylko coraz bliższe smugi kleju. Teraz już nawet tych smug nie ma.

Ja, mimo wszystko, mimo, że wciąż wierzyłem, że wreszcie "skończymy z nimi", nie byłem taki naiwny jak Olek. Znow wyciągnąłem rękę. I wtedy spojrzełem na ostatnie zdanie. Było tam coś o odpowiedzialności karnej za niszczenie obwieszczeń. Opuściłem rękę i obejrzałem się. Nikogo w pobliżu poza naszą czwórką. Znow spojrzełem na plakat. I znow obejrzałem się wokół. Może właśnie wtedy poczułem jak smakuje to gówno, którego teraz mamy pełne usta. To był zaledwie kasek - małe, niewinne gównienko. Machnąłem ręką i poszedłem za Olkiem, coś bełkocąc, nie wiem - do niego, czy do siebie, że tak, na rację, oni nasze, ale my ich nie. Po drodze minęliśmy wiele plakatów. Czarne litery na białym tle były doskonale widoczne, przypominały stado wron na śniegu. Na równym, czystym śniegu wroniego rezerwatu, gdzie nikt niepowołany nie ośmielił się

postawić niezacpatrzonej w przepustkę stopy. Nawet rozek żadnego z plakatów nie był naddarty. Nie tylko ja spróbowałem tego dnia jak smakuje gówno. Wrony mogły się czuć całkownie bezpiecznie.

Wreszcie, po przebyciu kilkunastu skrzyżowań ze SKOT-ami i żołnierzami grzejącymi dionie przy żelaznych piecykach, doszliśmy na Mokotowską. Jeszcze przed placem Zbawiciela słyszeliśmy okrzyki, głośno skandowane sylaby "SO - LI - DAR - NOŚĆ, SO - LI - DAR - NOŚĆ", ale ludzi było mniej niż się spodziewałem. Chyba nie więcej jak dwa, może trzy tysiące. Ale mimo to wszyscy mówili o dziesięciu milionach. Dziesięciu milionów nie można przecież zamknąć do więzienia, dziesięć milionów nie tak łatwo wyrzucić na śmietnik historii. I znów, tak jak wiele razy w ciągu poprzednich miesięcy, podniecailiśmy się tą liczbą. "Jest nas dziesięć milionów" powtarzaliśmy patrząc na milicjantów przegradzających Mokotowską na wysokości budynku Zarządu Regionu. "SO - LI - DAR - NOŚĆ".

Moja twarz, myślałem wtedy, musi wyglądać tak samo jak twarze E., Olka, Teresy, jak twarze innych ludzi zgromadzonych w tłumie u wylotu Mokotowskiej, między księgarnią, a sklepem spożywczym i na samym placu, aż po trawnik przecięty torami. Z tych twarzy uszła już wczorajsza twarz, wczorajszy sens, sposób rozumienia rzeczywistości, a jeszcze nie było w nich tego ranka i wszystkich następujących po nim dni. Usta były otwarte, źrenice rozszerzone, zziębnięte dionie z rozstawionymi palcami podnosiły się ku górze. Tylko jedno było w tych twarzach - nawet nie protest, raczej dziecienny żal po spełnieniu się rzeczy nieodwracalnej i dziecienna modlitwa - niech wróci wczoraj, niech się okaże, że to tylko sen, męczący koszmar snu, bo przecież t o nie może być rzeczywistość! Przecież rzeczywistość musi być czymś całkiem innym, musi wyglądać zupełnie inaczej!

Pustka. Puste twarze. Pusta, niezrozumiała twarz nowej rzeczywistości.

Przebiegłem pod drzwiami budynku. Były zamknięte, od środka zatarasowane jakimiś stołami, szafami... Odstąpiłem parę kroków do tyłu. W jednym z okien na drugim piętrze /to było chyba Biuro Interwencji?/ zobaczyłem Esa.

- Otwórzcie! - krzyknąłem. To było bez sensu, ale chciałem tam być, ochronić się przed nieokreślonością sytuacji, znaleźć kogoś kto mi wytłumaczy, przecież tam, w środku, musi być ktoś, kto będzie w i e d z i a ł. Może Lit, albo Helena, może ktoś inny, przecież chyba tam radzą, co zrobić, może już uradzili.

- Zobacz z tyłu - wrzasnął Ea - może będzie otwarte.

Obiegłem budynek, mijając blisko dwóch zomowców /niebezpiecznie blisko, ale oni nie wyglądali na szybkich w tych swoich grubych kurtkach, w hełmach z przyłbicami, z tarczami i pałkami w rękach, w grubych buciorach. Nie wyglądali nawet groźnie, wyglądali po prostu dziwnie. Dopiero później miałem się przekonać, jak szybko potrafią wyskakiwać do przodu/. Drzwi z tyłu budynku były zamknięte. Bezskutecznie szarpałem za kłamkę, ale w hallu nie było nikogo. Wreszcie zobaczyłem znajomą twarz /pamiętam, że to był ktoś kogo znałem z Regionu, ale kto, tego już nie mogę sobie przypomnieć, zresztą w ogóle wszystko to, co było w budynku na Mokotowskiej jawi mi się jak dawno oglądany film o kimś nieznanym, jakby to zupełnie nie dotyczyło mnie, niewyraźne i przez mgłę, może nawet nieistotne, dopiero 13 grudnia spędzony rankiem na zewnątrz, na ulicy, przed budynkiem, zyskuje w mojej pamięci realny wymiar/, bezradnie rozłożone ręce... Usta mówiły coś, czego nie mogłem dosłyszeć przez podwójną szybę. Kątem oka dostrzegłem zbliżających się zomowców, jakoś przebiegłem bokiem, nie próbowali mnie nawet zatrzymać... Oni sami też byli wtedy niepewni, nie przejawiali żadnej ini-

cjatywy, na komendę "biegiem marsz" poruszali się ospalym, niechętnym truchtem. Słyszałem za sobą głos oficera - "pilnujcie drzwi, żeby nikt nie uciekł".

Znów wmiszałem się w tłum. Olek i Teresa gdzieś się zawieruszyli. Szpaler milicjantów znajdował się teraz kilkanaście metrów bliżej placu, oddzielony od tłumy zaledwie paroma krokami wolnej przestrzeni. Spostrzegłem E., stojącą na samym skraju tłumy, właściwie już na tym parometrowym odcinku ziemi niczyjej. Była czerwona na twarzy, wymachiwała rękami krzycząc coś do zomowców. Ci stali w milczeniu, w równym, przegradzającym całą ulicę szeregu. Ale jakos niepewnie stali. Obciążone pałkami i tarczami dionie w skórzanych rękawiczkach zwisały im po umundurowanych bokach. Nie patrzyli na tłum, ale w bok i w górę, czasem oglądali się w tył, na stojących w grupkach, przy samochodach, kolegów i na oficera z rozłoszczoną, szarą twarzą i oczami czerwonymi od niewyspania. Officer wielkimi krokami przemierzał tam i z powrotem jezdnię, jakby próbując przeliczyć dotychczasowe sukcesy swego oddziału na metry kwadratowe asfaltu.

Twarze zomowców były zarumienione, ale nie wiem - z mrozu, czy ze wstydu, gdy słuchali ludzi, którzy jak E. tłumaczyli im, że oni, zomowcy, z tymi swoimi tarczami i pałkami, też są Polakami, że Polak na Polaka to nie, w żadnym wypadku, i, że ich, zomowców, matki, gdzieś tam, też tak stoją naprzeciw milczącego szeregu młodych mężczyzn w ciemnoniebieskich połowych mundurach.

W drugim końcu ulicy stojący w grupach milicjanci rzucili na ziemię papierosy i ustawili się w kolumnę. Na komendę niespiesznym truchtem podbiegli do drzwi budynku i zaczęli je wyważać. Z okien obserwowali ich wysiłki kilkanaście głów. Ale trwało to chwilę tylko. Trzask nie był nawet głośny i drzwi ustąpiły. Głowy zaczęły znikać, najpierw na pierwszym, potem na drugim piętrze, z któregoś okna wyleciała kartka papieru. Ostрым ślizgiem spadała w mrocznym powietrzu niczym ogromny biały motyl. Leciała nad głowami zomowców i nad głowami wciąż śpiewającego tłumy. Była z obu stron czysta, niezapisana, nawet nie cała kartka, od darta niedbale połówka. Wysoki mężczyzna w jesienno wspiął się na palce i wyciągnął rękę. Oglądał kartkę bez słowa, jakby szukał wypisanej sekretnym atramentem wiadomości, a potem wypuścił. Papier leżał pod naszymi nogami, szybko nasiąkał brudną wilgocią.

Śpiew raptownie ucichł, chwilę trwał z placu Zbawiciela, gdzie nie było widać wyprawdzanych z budynku. Poznałem Janusza, jeszcze kogoś, szli otoczeni mundurami, spokojnie i bez oporu. Nie wiedziałem co robić, chyba nikt nie wiedział. Ktoś zawołał - "no, na co czekamy, do przodu". I drugi głos - "bez prowokacji", zaraz podjęty przez inne głosy - "tak, tak, tylko bez prowokacji". Kiedy teraz myślę o tej chwili wydaje mi się ona najważniejszą. Najważniejszą tego dnia i najważniejszą na wiele następnych dni. Może aż do 1-go Maja następnego roku? Ale wtedy /mówię o 1-szym Maja/ było już za późno, mieliśmy w sobie zbyt mało przekonania, właściwie tylko chodziliśmy w kółko po Starym Mieście, nawet nie próbując przebić się przez zagradzające drogi szpalery milicji, aż wreszcie stanęliśmy na trawniku pod Gnojną Górą, zobaczyliśmy jak nas wielu i upojeni tym faktem rozeszliśmy się do domów.

Nie oceniam tego, nie mam zamiaru stwierdzać, że "trzeba było zrobić tak", albo "tak", albo jeszcze inaczej. W końcu cóż więcej można było zrobić? Rzucić się na armatki wodne i pałki? To zrobiliśmy 3-go Maja. Zbyt mało odważnie? Więc co - rozbić kilka plutonów, zdobyć broń, rozpocząć strzelaninę, a po przybyciu do miasta czołgów lać benzynę do butelek? Powtórzyć czerwiec 1956, grudzień 1970, węgierską jesień 56? Przecież o co tak naprawdę chodziło w ciągu tych kilku następnych manifes-

tacji, to o przeżycie katharsis, o orgię skandowania kilkudziesięcioma tysiącami gardeł, o wspólnotę wysuniętych ku górze palców. Funkcja terapeutyczna, obrona przed paranoją, instynktownie szukaliśmy lekarstwa, choć może nikt o to spytany nie potwierdziłby.

Nie mówię, że wtedy należało /ta' natrętna bezosobowa forma w rzeczywistości - boję się - oznaczała chęć ucieczki przed wyborem na własną rękę, ucieczki w autorytet tłumu, tego, kto w tym tłumie krzyknie najgłośniej, kto najtrafniej wyartykułuje niewyartykułowany strach/ rzucić się na kordon milicjentów. Tych "za" rzuceniem się jest znacznie mniej niż tych "przeciwko", a pytanie "czy należało się rzucić na kordon" sprowadza się w gruncie rzeczy do innego pytania, bardziej podstawowego - "czy mieliśmy szansę wygrać?" Nie. W tym momencie, gdy komuniści poszli na ostro, nie mieliśmy już żadnej szansy, gdyż ostatecznym punktem eskalacji - przed dojsciem do którego oni w razie konieczności by się nie cofnęli - było wejście w grę Rosjan, wejście środkami militarnymi naturalnie, bo politycznymi grali od trzydziestu pięciu lat.

Ale jeśli już, to można było uczynić to /rzucić się na kordon, zdobyć broń, walczyć z czołgami/ tylko w tym momencie. Dlatego, nie wartościując, uważam ten moment za tak istotny - oto sprzeniewierzyliśmy się zasadzie przez prawie półtora roku przestrzeganej, że gdy zagrożony jest pojedynczy członek Związku, zagrożona jest cała "Solidarność". Na naszych oczach wsadzone ich wszystkich do suki /Es odskoczył jeszcze na bok, pomachał na pożegnanie i coś krzyknął/, a my, teraz gdy pozwoliliśmy na to, co działo się na naszych oczach, nie byliśmy już członkami Związku, nie byliśmy, jak jeszcze wczoraj, wolnymi ludźmi, przedstawicielami wolnego narodu wyprzedzającego o jeden obrót koła historii zniewolone państwo, byliśmy zaledwie tłumem demonstrantów w policyjnie rządzonej kraju, byliśmy celem ataku, który we właściwej chwili należało przypuścić. I rozpoczęto nas w ciągu pięciu minut, gdy nadeszła pora.

Bo nie mam żadnych wątpliwości, że trzymano nas tam, abyśmy mogli obejrzeć to na własne oczy. Przecież mogli nas rozpedzić, zanim wyłamali drzwi budynku. Ba! - mogli nie dopuścić do powtórnego zajęcia siedziby Zarządu Regionu. Powtórnego, bo przecież byli już raz, w nocy, koło dwunastej. Zgarnęli parę osób, niewiele, bo często dążyła uciec. Zresztą choć każdego innego dnia na Mokotowskiej był ruch do późnych godzin nocnych, do rana nawet, gdy trzeba było dać ostatnie poprawki do powielarni, omówić propozycje załatwienia spraw na rano itp., to w sobotę wieczór było zwykle zupełnie pusto.

A kiedy już wyciągnęli tych kilka osób w nocy, to mogli zostawić w środku kilkunastu zomoli. A oni tego nie zrobili. Niemal ostantencyjnie. Może właśnie po to, by pojawił się tam Es i ta wysoka dziewocyna z warkoczami i tamenten, nie pamiętam nie tylko jego nazwiska, ale nawet twarzy, obojętne zwykle w zielonym swetrze, i ci inni, których mijalem koło tablic z fotografiami demonstracji, na śliskich schodach, w obłokach papierosowego dymu, na pokrytych linoleum korytarzach, gdzie za drzwiami trzaskały maszyny do pisania, w całym tym rewolucyjno-biurokratycznym zgieltku, który robił się coraz mniej rewolucyjny, a coraz bardziej biurokratyczny, ale wciąż jednak był bardziej rewolucyjny niż biurokratyczny i który niósł w sobie tyle zagrożeń dla systemu, że trzeba było ten zgielek, personifikowany przez kogoś, przez tych kilkanaście postaci, wywlec za kołnierz przez rozwalone kopniakiem drzwi, publicznie wrzucić do milicyjnej suki, przycisnąć oczami przerażonego tłumu jak nadającym wdarygodność stemplem.

I dlatego właśnie zostawiono pusty budynek na całą noc. I dlatego rankiem pozwolono tłumowi zebrać się przed tym budynkiem.

I jeszcze sprawa twarzy... Te kilka godzin pod Regionem miało nie tylko nauczyć nas nowych twarzy. Miało też sprawdzić twarze milicjantów. To drugie było może nawet bardziej istotne - skorzystano z okazji, by w warunkach niemal ciepłarnianych, na ulicy, więc niejako na ziemi niczyjej, nie to, co hale fabryczne, wobec tłumu złożonego głównie z ludmi przypadkowych, z przechodniów, wobec zdeintegrowanej masy ludzkiej, niepewnej, pozbawionej przywódców, łatwej do manipulowania poprzez podstawionych w odpowiedniej chwili agentów, więc by w tych łatwych warunkach przegzaminować twarze ciężkobrojnycy hoplitów z je-siennego poboru.

Als najpierw te pierwsze - nasze twarze, twarze tłumu. Było w nich coś niedokończzonego, jakiś brak wyrazu, zamglonie, brak zamkniętej, wyraźnej formy...

I te drugie... Czy był głos z megafonu? Chyba tak, ale kto mówił? Czy to był megafon na samochodzie, czy lekki, przenośny głośnik na baterie w ręku spacerującego za plecami swoich ludzi oficera? W każdym razie głos był Głosem. Nawoływał do rozejścia się, ostrzegał przed odmową podporządkowania się rygorom stanu wojennego /bo oni sami nie mówili o przepisach, jakby się watydzili tego określenia, chętniej używali słowa zawieszającego pytanie o legalność - "rygory"/. Był białany, nosowy, anonimowy, nawet jeśli poruszając się usta kapitana milicji zaprzeczyły tej anonimowości.

Potem Głos stał się głosem. Bez tuby, po prostu ostre szczełknięcie "baczność - trzy kroki na wprost - marsz!". Zomowcy oglądali się po sobie, po swych twarzach. Wyrażały niepewność, niezdecydowanie, w grun cie rzeczy były podobne do twarzy ludzi stojących naprzeciw nich. Może tylko w tamtych było więcej nadziei, a w tych więcej strachu.

Potem kilku zomowców ruszyło naprzód, oglądając się na kolegów. Kilku innych niepewnie zadrapało w miejscu. Reszta stała.

- Nie pójdą - szepnął ktoś za moimi plecami z histeryczną nadzieją w głosie.

Twarze milicjantów były obnażone, ludzkie...

- Opuścić przyłbice - znów szczełknął oficer.

Zrobili to pospiesznie, jakby z ulgą. Twarze za przezroczystym pleksiogłasem były teraz alabiej widoczne. Refleks światła na gładkiej powierzchni nie pozwalał dostrzec oczu, jeszcze przed chwilą niepewnie blakających się wokół. Nie mieli twarzy.

- Baczność - na wprost - marsz!

Szereg kosmitów podniósł palki, dźwignął plastikowe taroże pod sam brzeg przyłbice. Ruszyli do przodu.

Przez chwilę wydawało się, że tłum nie drgnie. A potem, gdy kosmici byli już w odległości ciosu wyciągniętą palką - rozsypał się.

Oboje z E. uciekaliśmy jak imi w nierozumnym zwierzęcym popłochu. Ulica toczył się szaroniebieski walec, pchając przed sobą skowyczące ludzkie drobiny. Jakaś brama. Szamotanina z kłami prowadzących na podwórce drzew. Dozorca, który wyskoczył skąd z pękiem kluczy i oglądając się w stronę Mokotowskiej przesił - "szybciej, ludzie szybciej!". Przechodnie podwórko, zaułek, wreszcie ulica. Przystanek.

E. miała czerwoną, nabrzmiałą twarz i wilgotne oczy. Dyszała, choć to był przecież tylko kawałek. Mijali nas rozdzygotani ludzie, o rozszaronych źrenicach, które unikały odzkiego spojrzenia.

Teraz już wiedziałem, jak wygląda nowa twarz. Wokół nas było ich wiele. My sami mieliśmy nowe twarze. Wsiadliśmy do tramwaju. Nowe twarze jak osy roznosiły się po mieście, mijając żołnierzy tupiących przy szalaznych płacykach.

MIEJSCE URODZENIA ZSRR

Niedawno, przypadkiem usłyszałem dziwaczną nazwę miejscowości: Redźki. Przy tej okazji byłem świadkiem ciekawej rozmowy. Otóż kto zgadnie, gdzie leży ta miejscowość? Zdaniem osoby, która wymieniła tę nazwę usłyszaną przeze mnie po raz pierwszy - w Polsce, dokładnie w województwie wileńskim. Rozmowa toczyła się w jednym z urzędów dzielnicowych, w wydziale odpowiadającym za wystawianie dowodów osobistych. Zgłosiła się tam obywatelka naszego kraju, Krakowianka, z podaniem o wystawienie nowego dowodu tożsamości, bowiem poprzedni został jej skradziony. Urzędniczka przebiegła wzrokiem wszystkie wypełnione rubryki zastrzymując się nad jedną z nich - miejscem urodzenia. Bez cienia wątpliwości przekreśliła słowa, które były tam wpisane: Redźki, województwo wileńskie, Polska i równie pewnie wpisała w to miejsce drukowanymi literami: ZSRR. Pani skłádająca podanie zaczęła spokojnie tłumaczyć, że urodziła się w 1930 roku i że od urodzenia mówiła po polsku, chodziła do polskiej szkoły i czuła się Polką; że była i jest obywatelką polską i urodziła się w Polsce. W 1939 r., nie przekraczając żadnej granicy, znalazła się w Krakowie - Redźki i Kraków leżały bowiem w tym samym kraju. Nic też dziwnego, że trudno było jej przyjąć do wiadomości, nawet w 1985 roku, że urodziła się w Zw. Radzieckim. Zgodnie bowiem z logiką rozumowania, zgodnie z prawdą historyczną i jej własnymi przekonaniem, urodziła się w Polsce. Jest to dla niej i dla kilkumilionowej liczby Polaków fakt oczywisty i dotyczący ich osobiście.

Pomijając słuszne przyczyny oburzenia tej Pani, należy opisać przypadek przenieść na szerszą płaszczyznę. Po pierwsze /abstrahując od znanych wszystkim przyczyn politycznych/ należy zadać sobie pytanie o podstawy prawne takiej interpretacji miejsca urodzenia. Żaden

prawnik nie był w stanie mi tego wyjaśnić. Miejsce urodzenia - według większości systemów prawnych - decyduje o narodowości jednostki. Miejsce urodzenia, okolice dzieciństwa, więzi rodzinne i lokalne tworzą syndrom tzw. "ojczyzny prywatnej", którą dopiero z czasem zostaje uogólniona na terytorium i instytucje państwa i na kulturę narodową. Niemniej "ojczyzna prywatna" osadzona jest w szerszym systemie wartości wyznaczonych wspólnotą języka, regilii, określonym stosunkiem emocjonalnym do wspólnoty, stającej się w domu, w szkole i w kościele coraz bardziej wspólnotą narodową. Pomimo wielu kontrowersji teoretycznych, trudno uznać dziewięcioletnią osobę za "indyferentną narodowo", zwłaszcza gdy nie zmieniła ona terytorium państwowego. Istotnie więc była i jest ona Polką.

Problem narodowości jest więc jasny i prosty, również w odniesieniu do podobnych do niej osób tzw. "repatriantów zza Bugu". Sprawą oczywistą jest również jej obywatelstwo, które przez wszystkie trudne momenty w najnowszej historii Polski ani na chwilę nie zmieniło się - ani w deklaracjach prawnych, ani w sensie faktycznym.

Jak może się więc czuć taka osoba, która wbrew faktom, jako miejsce urodzenia ma wpisane ZSRR? Większość Polaków ma w dowodzie osobistym jako miejsce urodzenia nazwę miejscowości, w której się urodziła naprawdę, ale nie wszyscy. Osoby o biografii podobnej do opisanego - nie. Są one pozbawione tego prawa i niejako "odcięte" od swej prywatnej ojczyzny.

Dlatego też z takim wzruszeniem, z nabożnością prawie, czyta się Miłosza, który pomimo wszelkich przeszkód, przybliżył światu swoją prywatną ojczyznę, będącą krajem rodzinnym dla co najmniej szóstej części Polaków. Pozostawmy jednak przeżycia poety na boku.

Postawmy kolejne pytanie: czy mając do czynienia z tak wielką ilością osób urodzonych w ZSRR możemy mówić o mniejszości rosyjskiej w Polsce? Teoretycznie pytanie jest poprawne i możliwe do pozytywnego rozstrzygnięcia. Praktycznie - nie, Nikt bowiem spośród tych osób nigdy nie czuł się Rosjaninem, podobnie zresztą jak większość pozostałych po tamtej stronie granicy. Zabór, grabież ziemi, nie oznacza też kradzieży ludzi.

Odwróćmy sytuację. Z terenów odzyskanych Polski Północnej i Zachodniej wyemigrowało na Zachód wielu obywateli Niemieckiej III Rzeszy. W ich przypadku jest więc dokładnie odwrotnie. Większość z nich, określając miejsce swego urodzenia, pisze "Niemcy" - zgodnie z prawdą i stanem faktycznym. Pewna część przemieszczonych Niemców /wśród których znalazło się niestety i wielu Polaków, ale to już inna historia/ chce wrócić w swoje rodzinne strony. Moim zdaniem mają prawo tak myśleć - tak jak mają prawo o myśleniu o powrocie za Bug ci, którzy zostali stamtąd usunięci siłą. Spotykałem w swoim życiu takie osoby, którym do śmierci pozostawała nadzieja powrotu do Lwowa czy Wilna. Wiele takich osób żyje nadal wśród nas. Czy należy uznawać je wywrotowe, wrogie i rewizjonistyczne ugrupowania społeczne? Przecież zorganizowaniu się ludzi przekonanych o polskości ziem wschodnich, utraconych na rzecz ZSRR stoi w Polsce na przeszkodzie jedynie terror. W sytuacji dzisiejszej, tj. w sytuacji uzależnienia od Moskwy, rewindykacja tych ziem nie jest oczywiście możliwa, ale czy znaczy to, że w przyszłości jest również nie do pomyślenia?

Czy można więc powiedzieć, że około 1/6 obywateli Polski to rewizjoniści? Myślę, że tak - chociaż nie mają oni swojej organizacji i swobody głoszenia swych poglądów /takiej jaką mają znane z naszych gazet "ugrupowania zionkostw" w RFN/.

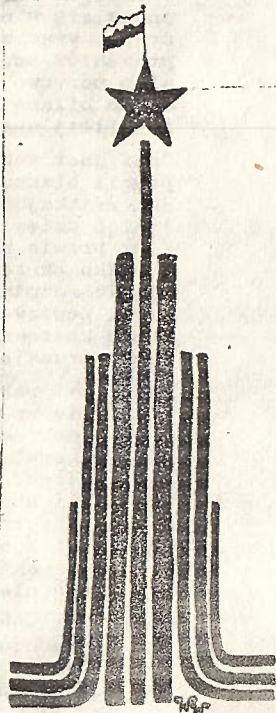
Jednak "rewizjonizm" tych Po-

laków prowadzi się do nieśmiałych prób protestu, do obrony, do ochrony kraju swego obywatelstwa, miejsca urodzenia, ochrony własnej ojczyzny prywatnej i ideologicznej, której nazwa brzmi: Redźki - Wilno - Polska.

Mniejsza o racje polityczne, mniejsza o legitymację prawną. Myślę, że każdy ma prawo - choćby w imię ochrony własnej osobowości - do kraju swego dzieciństwa, I jeżeli nazywa się on "Redźki", jest ojczyzną prywatną, choć dziś należy do innego państwa.

Bywa, że ktoś nie chce, z przyczyn politycznych /bo jest wraży, zdradziecki, niechętny racji stanu, nie rozumie istoty przyjaźni polsko-radzieckiej/, by mu wpisano w dowód osobisty jako miejsce urodzenia - ZSRR. Dlaczego jednak nie wpisują "Redźki", tylko te cztery litery: Z S R R ?

P E T



WIERSZ
BEZ
TYTUŁU

Czas jest wektorem. Nawinięty
wokóło tarczy zegarowej
pozatkowany w prostokąty
kartek ściennego kalendarza
lub rozciągnięty barwną nicią
na kanwie krat harmonogramów
nieublaganym sunie rytmem
godzin, tygodni, dni, miesięcy
jak kanon równych fraz rytmicznie
przebiegających w nieskończoność
/tego akordu nie ma w nutach,
zbyt trudny jest do zapisania/.

Czas jest wektorem. Jest więc sumą
małych wektorków - zwłaszcza w grudniu
gdy adwent zmierza roratami
ku świętej Nocy Narodzenia
rtęć w termometrze śnieg zwiastuje
dzieciaki ostrzą płozy sanek
a listonoszom grzbiety zgina
milion choinek pocztówkowych
i milion listów bez adresu
/Święty Mikołaj. Poczta - Niebo/.

Czas jest wektorem jak ość karpia,
ma kształt jodełki, zapach świerka
biegnie jak czwórka białych renów
o złotych rogach, jak kolęda
pnąca się w niebo pierwszej gwiazdki
drepcze wraz z nami na pasterkę
prezentów szuka pod poduszką
albo nerwowo liczy bilon -
saldo bilansu niknie w oczach
im bliżej nas ultimo grudnia

Czas jest wektorem. Na podziałce
powoli blakną stare daty
jak wsiakające w śnieg krwi krople.
tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt
/już prawie nie do odczytania/
i tylko skrzepia, czarna plama
ciągle rozpina ptasie skrzydła
mrozi powiewem strasznej nocy
przez kratownicę zębów trupich
sączy przekleństwa jak wsstchnienia

Czas jest wektorem, lecz niekiedy
wpija się wpętłą wokół szyi
niby w dekrete paragrafy
Więc mimowoli zapominasz
o dzieciach, którym zrabowano
Wigilię i ubogą Gwiazdkę
A dzieci rosną, rosną, rosną...
Rosną też konta generałów,
gwiazdką wektorów wpiętych w nicość
Tym dągo nie dość moratorium.

Czas jest wektorem - dokąd zmierza
wie w grudniu każdy najdokładniej
więc pójdźmy wszyscy bez pośpiechu
paść na kolana przed Dzieciątkiem

amen.

ezop

K I N O i Ż Y C I E

WŁADZA W OKOWACH LUDU CZYLI PERYPETIE OBITEGO KRÓLA

Zapewne błędem byłoby szukać nie ściślejszych, a wyabstrahowanych z całego społecznego kontekstu, związków zależności między sposobem przedstawiania tzw. "władzy" w filmie fabularnym, a cechami i atrybutami systemu społeczno-ustrojowego, takimi, jak sposób odbierania, sposób kontrolowania, usuwania i zastępowania organów przedstawicielskich. A zwiaszcza między ich formalnymi uprawnieniami a faktycznym stosunkiem wobec współobywateli. Pisząc "władza" mam na myśli umundurowanych lub nie, tajnych lub jawnie działających funkcjonariuszy danego reżymu, którzy mają na celu ochronę albo społeczeństwa przed nim samym, albo raczej ochronę władzy przed społeczeństwem.

Gdyby sugerować się filmami, a chyba do pewnego stopnia sugerować się mielibyśmy prawo, najcięższe życie na świecie mają policjanci amerykańscy i francuscy. Nie ma prawie amerykańskiego filmu /przynajmniej na polskich ekranach!/, w którym nie znalazłby się sprzedajny, a co najmniej mało solidny bądź mało inteligentny policjant. W ogóle można odnieść wrażenie, iż policja amerykańska jest powszechnie znieawidzona, a składa się z przestępców lub przynajmniej kandydatów na nich. Wyjątki - szlachetny policjant walczący nie tylko z przestępcami, ale także często także z własnymi kolegami - znakomicie potwierdza regułę.

Policjanci francuscy mają się w filmach nie lepiej. Gapiowaci z natury, żyją w cieniu godnych podziwu, tragicznych, a przede wszystkim przystojnych przestępców. Także policjanci angielscy, choć jakby nieco lepiej przez angielskie filmy traktowani, bywają mimo wszystko obiektem żartów, bynajmniej nie zawsze dobrotliwych. Cięż-

kie jest zatem życie policjanta na tzw. zachodzie, gdyż idąc do kina, łatwo może trafić on na film, w którym zostanie /w swej zawodowej dumie/ zelżony, wyśmiany i oskarżony o najgorsze przewinienia. Wróci taki do domu i włączy telewizor: to samo; otworzy gazetę /chyba że policyjną, takie ichne "Na straży narodu"/ a tu znów na niego i jego kolegów leje się kubeł pomyj. Oszałeć można!

W tych dramatycznych chwilach pocieszyć go może tylko fakt, iż dostaje się w równym stopniu prezydentem i premierem, ministrom i dyrektorom departamentów; że wokół nikt ani myśli dbać o aurorytet wybranych /jednak wybranych!/przez siebie reprezentantów. Tak jako dziwnie już jest /dziwnie dla nas, Polaków/, że wybór na jakiś urząd w systemie faktycznie demokratycznym, nie jest równoznaczny z kanonizacją i że osoby wyniesione podlegają w każdej chwili krytyce, często nawet przesadnej i krzywdzącej. Na dodatek muszą się jeszcze uśmiechać /robić dobrą minę do złej gry/, by udowodnić, że są godne swego urzędu. Wyborca ponoć niczego bardziej nie lubi, jak oskarżać swych wybrańców o najgorsze i obserwowane czy potrafią "po ludzku" zareagować.

Traktowanie władzy po ludzku, tj. ocenianie jej na bieżąco w kategoriach zasług i win, błędów i przestępstw, kary i nagrody, podobno gdzieś niedługo wydaje się normalne i nie budzi zdziwienia. Film, w którym przekupny policjant kompromituje system, odbierany jest zgoła inaczej przez ludzi owego systemu: indywidualnie i bez skojarzeń z jego regułami. Po prostu, widzowie wiedzą, że władza, choć wyniesiona ponad resztę obywateli - na jakiś konkretny czas i ściśle kontrolowana - nie tyle niesie przywileje, ile raczej niemałe obowiązki i zgrzy-

ty. Nie tylko film niekiedy o tym przypomina; sam system powoływania takiej władzy mieścił już w sobie element jej upokorzenia. Dam tu przykład równie dobitny, co efektowny, który znalazłem w jednej z książek wybitnego etnologa amerykańskiego, Victora Turnera.

Otóż opisuje Turner, na podstawie jeszcze 19-wiecznych materiałów zebranych przez Du Caillu, elekcję króla Gabonu. Elekcji tej, w tajemnicy, bez wiedzy zainteresowanych kandydatów, dokonywała rada starszych. Stało się tak, że wybranym został przyjaciel badacza, Njogoni, bardzo wśród ludu popularny, choć pozbawiony większych ambicji. O swym wyniesieniu zrazu nic nie wiedział. Kiedy spacerował nad brzegiem morza został napadnięty przez całe pospólstwo i... tu oddajmy głos etnologowi: "Oto otoczyli go ciasnym tłumem i zaczęli zasypywać wszelkiego rodzaju obelgami, jakie tylko najgorszy z motłochu mógł wymyślić. Niektórzy plułi mu w twarz, inni bili pięściami, jeszcze inni kopali, byli i taocy, którzy rzucali weń obrzydliwe przedmioty; podczas, gdy ci pechowcy, którzy stali na skraju tłumu i mogli dosięgnąć biedaka jedynie głosem, przeklinali go wytrwale... Obcy nie dałby grosza za życie tego, który właśnie miał być koronowany."

Njogoni znosił to z niezwykłą cierpliwością, z uśmiechem na ustach. Po jakimś czasie gniew ludu zelżał i przystąpiono do obrzędu koronacyjnego. Władca poddany poprzednio ponurej próbie został "obdarzony największymi oznakami szacunku przez tych, którzy dopiero co lżyli go".

Tak oto widzimy, jak przyszły władca znalazł się w okowach ludu, a sytuacja ta chyba wiele mu uświadomiła. Przeszedł nie tylko próbę cierpliwości, szkołę, jakiej brakuje wszystkim "władcom" komuny /kto właściwie jest źródłem władzy, kto dominuje w relacji władza-obywatel/; była to także przestroga. Panuj najpierw nad so-

bą, później nad innymi. Sens społeczny podobnych obrzędów, /a etnologia zanotowała ich sporo/ jest oczywisty i dla każdego zrozumiały. Także i społeczeństwu europejskiemu znane były efektowne próby, jakim poddawano obejmujących władzę lub tych, którzy osiągnęli wyższą rangę społeczną: posty i nocne czuwania w kościelnych murach francuskich królów, upokorzenia spotykające rycerzy przed pasowaniem. Papiież w ważnych i znaczących obrzędach ślubował być "sługą sług bożych", co w spektakularnej formie objawiało się niekiedy myciem nóg żebrakom podczas mszy.

Wyszedłem od pytania o związek charakteru "władzy" z jej filmowym obrazem. Związek taki zapewne istnieje i można go dość precyzyjnie określić, ująć w prawo: im władza mniej demokratyczna, tym bardziej dba o swój prestiż. Dba przez tłumienie wszelkiej krytyki, przez narzucanie pogodnego i godnego obrazu swych wyspecjalizowanych organów: policji, służby bezpieczeństwa itd. Stąd, w totalitarnym systemie doczekać się możemy co najwyżej krytyki szeregowego funkcjonariusza, nigdy wyższego stopniem. Mowy nie ma oczywiście o tym, aby w jakimkolwiek filmie przedstawiciel władzy okazał się cynicznym przestępcą, aby brał łapówki itp. Jest tam - podobnie jak i przedstawiciel wszystkich innych szczebli i gałęzi władzy - po-mazańcem, wybrańcem bogów, nieskazitelnym przedstawicielem ludu.

Obrazem milicjanta w polskiej powieści kryminalnej zajął się swego czasu Stanisław Barańczak. Milicjant w filmie to równie pasjonujący temat, - przyjdzie się nim jeszcze kiedyś zająć. Czas jeszcze na to, filmowcy wszak nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa: vide porucznik Borewicz w interpretacji /?/ pupilka czerwonej władzy - pamiętam cię, "reporterze" Cieślaku z czasów stanu wojennego! Ot, właściwy człowiek na właściwym miejscu.

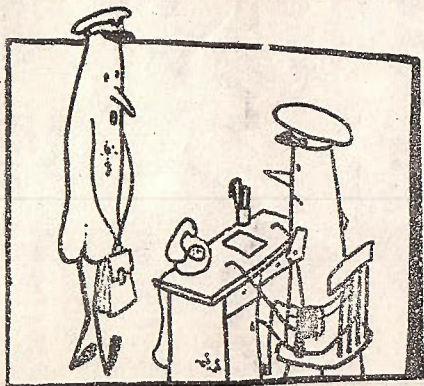
Wróćmy jednak do uciemnionej

"władzy", władzy znajdującej się stale, lub bywającej, w okowach ludu /czyta/, filmowców, dziennikarzy, satyryków/. Cóż mają czynić jej przedstawiciele? Pozostaje im chyba tylko przyzwoycić się do stanu odpowiedzialności, czy nawet szczególnej presji i podejrzliwości /w istocie dla całego społeczeństwa stanów zbawionych/, bądź szukać szczęścia gdzie indziej. Czy jednak - mimo wszystko - pozwiliby się oni naprawdę dobrze w kraju, gdzie kry-

tykować jedynie można, ale za to pryncypialnie i po imieniu, dozorcę, babkę klozetową albo przekupkę z Kleparza /o ile oczywiście nie mają oni i one krewnych w Komitecie partyjnym/? I gdzie krytyka jest sterowana, dekretowana i limitowana przez krytykowanych? A ponadto czyż sytuacja dozorców nie wymaga natychmiastowej poprawy? Słyszałam, że Petelscy kręcą bezkompromisowy film o spekulancie, u której znalazłono dziesięć azarówek.

I to by być na tyle!

KRYSZ



-Borewicz! - NAGO w pracy!?

-Obywatelu majorze. Na prywatce naprzód padł rozkaz gasić światło i rozbierać się, a potem - do roboty. No to złapałem czapkę i teczkę i przybiegłem.

ciąg dalszy ze strony 10

Dla ułatwienia podajemy, że w osiem lat później pojawił się inny utwór, zawierający m.in. następujące sformułowania:

"Polska Rzeczpospolita Ludowa /.../ 5. zabezpiecza stały wzrost dobrobytu, zdrowotności i poziomu kulturalnego mas ludowych, 6. zapewnia wszechstronny rozwój kultury narodowej. /.../

Wszystkie organy władzy i administracji państwowej /.../ obowiązane są: /.../ 2. uważnie rozpatrywać i uwzględniać słuszne wnioski, zażalenia i życzenia obywateli w myśl obowiązujących ustaw. /.../ Siły zbrojne Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stoją na straży suwerenności i niepodległości Narodu Polskiego /.../".

"Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji."

Życzymy więcej zabawy!

@ZOP

P o t w i e r d z a m y otrzymanie następujących wpłat:

BRITAUT - 2550 zł

oooo - 11 700,- zł; Renia - 4000,- zł

D z i ę k u j e m y !



DZIEŃ BOŻEGO NARODZENIA
Wzruszamy Wam

to Dzieciątko dotarło WSZĘDZIE
WSZYSTKIM przyniosło SWÓJ POKÓJ i SWOJĄ RADOŚĆ

Jeru, jeru
Lisie w sercach prawiły cię
Ciebie swego deń wcielisz
Pobito ostów Solidernoci
Matlion, zowom deń wprawy
Pieze mnie, nad wodnami
A Stowo Ciaseru sig Hato
I mienkato miedny nam

Łożze, Boie Narodzenie 81

